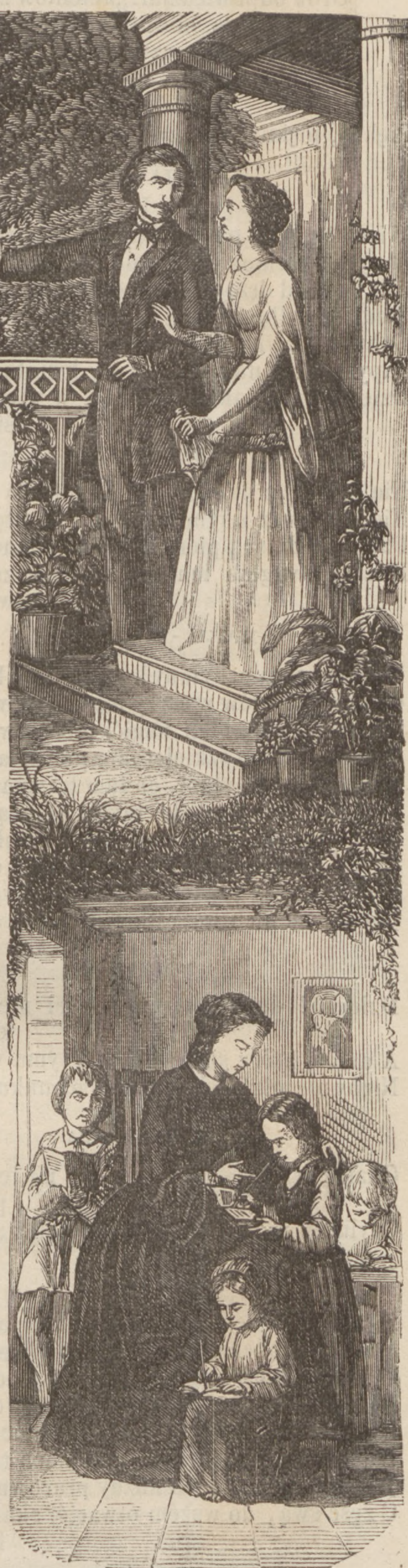




# GRÓB I RÓŻA.

*(Obrazek, widziany przez gałęzie drzew jednego wiejskiego sadu).*

---

OSOBY:

MARJA - RÓŻA.
BOLESŁAW, jéj brat.

Biała kolumnada dworskiego ganku wychodząca na ogród. W głębi, przez otwarte drzwi szklanne, widać bielone ściany pokoju. Marja - Róża siedzi na progu z wielką księgą na kolanach. O kilka kroków przed nią stoi Bolesław.

BOLESŁAW

O czém tak dumasz siostro z pochyloną głową?
Puściwszy na ramiona twoję kosę płową
I mając na kolanach tę księgę otwartą,
Wyglądasz, niby wieszczka nad tajemnic kartą.

MARJA - RÓŻA

Może ty zgadłeś bracie i może w téj chwili,
Duch mój pieczęć tajemnic wielkich zdjąć się sili.
Posłuchaj mnie: znęcona tym słońca zachodem,
Co falami smug złotych igrał nad ogrodem,
Usiadłam tu, lecz nie wiem czemu roztęskniona,
Czy szmerem, który lipa słała mi zielona,
Wzięłam książkę i z białym bawiąca się kwiatkiem,
Patrz bracie na co właśnie trafiłam przypadkiem:
(czyta) „Grób mówił róży: kwiecie miłosny [1])
Gdzie ty podziewasz te perły wiosny
Któremi zorza cię rosi?“
Róża mówiła: „przepaści ciemna,
Jak kryje twoja tajnia podziemna
Tych, których blada śmierć kosi?“

[1]) Z Wiktora Hugo.

I róża rzekła: „grobie ty! grobie!
Ja wonny balsam, złoty miód robię
Z każdéj łzy ranku srebrzystéj.“
Grób odpowiedział: „z cieniów mych łona,
Skrzydła na śnieżne biorąc ramiona,
Anioł unosi się czysty.“

BOLESŁAW

Piękny, piękny wiersz siostro....

MARJA - RÓŻA

Lecz bracie mój drogi,
Wiesz ty, o co on polskiéj dziewczyny niebogi,
Zapytał, harmonijną rytmów swoich mową?
„Ty! co pod drzew szumiących zielenią majową,
Siedzisz w długiéj twéj szacie, jak anioł żałoby,
Cobyś odpowiedziała, gdyby kiedyś groby
Zapytały cię nagle jako róży kwiata:
Dziewczyno! jaki dział twój, w wielkiéj pracy świata?“

BOLESŁAW

Nie jeden raz już one pytały mnie o to,
Nie jeden raz z synowskiéj miłości tęsknotą,
Padałem drżącą piersią na ich zimne głazy,
Rzucając w głąb ich ciemną strasznych słów wyrazy!....

MARJA - RÓŻA (wstając)

Wiem ja, co ty schylony ku spruchniałéj trumnie,
Grobom dziadów rycerzy możesz mówić dumnie,
I w ofiarniczéj bieli nagiéj piersi twojéj,
Przysięgać tym szkieletom z pod żelaznéj zbroi.
Ale jeźli krzyż stary, co tam trzyma straże,
Nagle mi do spowiedzi takiéj klęknąć każe,
Zaliż głos mój ginący w piersi rozpłakanéj,
Mówić będzie o ząbkach chusteczki dzierganéj,
I rozłożywszy rzędem batystów swych rąbki,
Policzy na nich wszystkie dziurki i obrąbki?...

BOLESŁAW

Dziecko! duch by przeszłości nie dosłyszał ciebie,
A anioł, który szalę naszą trzyma w niebie,
Niczby nie miał nań rzucić w rachunku godzinie...

MARJA - RÓŻA

Gdzież więc pójdzie łza, co mi teraz z oczu płynie?
Czyliż ta nic nie waży przed obliczem Boga?

BOLESŁAW

Z takiéj łzy siostro może stać się perła droga,
Jeźli jak koncha, weźmiesz ją do serca głębi,
Gdzie próżność nie dosięga, ani płochość ziębi.
Bo ta łza, to już pierwsza praca twego ducha.
Uczułaś się ogniwem wielkiego łańcucha,
Pojęłaś się jednostką w milionach twych braci,
I wiesz już, że z nich każdy pracownik, co płaci
Cząść swą, do wszém otwartéj skarbony ludzkości.

MARJA - RÓŻA (płacząc)

Lecz bracie mój! ja nie mam nic, nic, prócz miłości!...

BOLESŁAW

Siostro! tyś powiedziała: ja jestem bogata,
Nad wszystkie pany, wszystkie władce tego świata,
Skarbem, którego ceny Bóg tylko zna miarę.
Powiedziałaś: mam miłość, to jest: mam ofiarę,
Siłę, męztwo, wytrwałość i cudu potęgę!
Rzuć precz tę kart pożółkłych szeleszczącą księgę,
Otrzéj łzy, co strumieniem płyną ci na lica,
I powiedz, cóż ta biała, jasna ofiarnica,
Co z wieńcem poświęconéj kaliny u skroni,
Wstaje wpółnoc majową z nad Wiślańskiéj toni,
Miała więcéj nad miłość?

MARJA - RÓŻA

Mój bracie! mój bracie!
Ty w królewskim twéj męzkiéj dumy majestacie,
Rzucasz mi takie słowa, co jak iskry parzą!
I cóż będzie gdy z bladą, jak ta Wanda twarzą,
Powiem ci kiedy nagle, że już żyć nie mogę
Mojém życiem wczorajszém?. Gdzie ty znajdziesz drogę,
Coby cicho niewieścim i domowym szlakiem,
Zdołała mnie niebogę wieść za celem takim,
Jakim ty nieostrożnie migocesz przedemną,
Jak ognik, kiedy nocą zapali się ciemną.
O doprawdy, doprawdy ja byłam szalona!
Poeta kroplę jadu wsączył mi do łona,
A ja ci dałam mojéj połowę zarazy.
Czasem tak rozkołyszą te dźwięczne wyrazy,
Że człowiek się sam sobie czemś wielkiém uroi,
Mnie i tak już, w tęsknocie dziwnych niepokoi,
Bóg sam wié, co czasami przychodzi do głowy,
Nieraz w jaką noc cichą, w wieczór księżycowy
Gdy się pomodlę za tych, co walczą, co giną,
Żar mi lice oblewa, łzy strumieniem płyną,
Chcę gdzieś iść, kędyś bieżyć; oddać, choćby życie,
Za to drogie, to święte, co tak kocham skrycie.
Ale kiedy się w koło obejrzę po świecie,
Jakie tam Pan Bóg miejsce przeznaczył kobiecie,
Już tylko westchnę, drżące przyciskając łono:
Cicho! cicho sieroto! nie tobie sądzono!...
I nazajutrz znów rankiem stoję przed zwierciadłem:
Utrefię złotą kosą nad licem pobladłém,
Zaśpiewam, jak uczony kanarek wśród klatki,
Wysnuję łokieć takiéj ot, jak pająk siatki,
A kiedy znów mąk dawnych chcą mnie porwać czary,
Skubię sobie stokrotkę i liczę do pary!....

BOLESŁAW

Posłuchaj mnie: ta Boża myśl, która w naturze
Na pracownice swoje wzięła lasów róże,

Za cóż w czczość wiecznéj próżni strąciłaby ino
Ciebie, biedna ich siostro, o polska dziewczyno?
Ale ty może myślisz: jam pąk nierozwity;
Niechaj jeszcze poczekam na miano kobiety,
I za wieniec dziewiczy, co mi zdobi skronie,
Stanę u stóp ołtarza w miłości koronie;
Wtedy zacznę odrabiać ten mój dług mozołu,
Który, Anioł téj ziemi zebrawszy pospołu
Z pracą całego ludu, musi raz przeważyć:
Dziewczyna będę tęsknić, rwać kwiatki i marzyć,
Aż niewiasta swój ciężar weźmie na ramiona,
Jak strażnica rodziny i matka i róża.
Nie dziecko! pierwsza młodość to jak pierwsza wiosna,
Najcudowniéj kwitnąca, najwięcéj miłosna,
Kto się w niéj nie ogrzeje serdecznym zapałem,
Już tylko zimnym głazem będzie w życiu całém.
Wreście każda godzina musi ziścić swoje.....

MARJA - RÓŻA

Bracie mój, ja przed tobą cała we łzach stoję
I taka jakbym miała słyszyć wyrok Boga,
Wołam na ciebie tylko: droga moja? droga?

BOLESŁAW

Biedaczko! przez te twoję sierocą sukienkę,
Do wznoszącéj się piersi drobną przyłóż rękę,
I rzuciwszy błękitnych oczu twych spojrzenie,
Za kępy drzew szumiących, białych kolumn cienie,
Szukaj, czy jéj gdzie blisko, blisko ciebie niéma?

MARJA - RÓŻA

Bracie! ja skąpanemi w świeżych łzach oczyma,
Widzę tam tylko nizkie, pochylone chaty....

BOLESŁAW

A nad niemi czy Anioł jest jaki skrzydlaty?

MARJA - RÓŻA

Nad niemi tylko słońce zachodzące świeci.

BOLESŁAW

A bose, w przepasanych koszulinach dzieci,
Siedzą na progach, patrząc za tém zbladłém słońcem,
Co dzień cały bieliło żarem swym pałącym
Włoski ich, tchnieniem tylko czesane wietrzyka.
O gołogłowa dziatwo polskiego rolnika!
Zaliż ty nie biedniejsza, niż owe wróblęta,
O których dłoń opatrznéj przyrody pamięta,
Rzucając im po drodze robaczki i muszki?
Zaledwie cię w szmat grubych spowiją pieluszki,
Wnet głód idzie cię witać ostrym zębem swoim,
Gdy mleko matki z gorzkim pomieszane znojem
Wzbiera w piersi schylonéj nad twardym zagonem,
Lecz to nic, że w kolebce za matczyném łonem,
A później za kawałkiem będziesz łaknąć chleba,
Tobie boleści cięższych głodów przebyć trzeba,
Bo świętą karmią ducha nikt cię nie posili.
Ty, jak ta biała brzoza, co płacząc się chyli,
Wśród ciemnoty i nędzy zaklętego koła,
Nigdy w górę znojnego nie podniesiesz czoła.
Wszystko to, co świętszego w piersiach ci uderzy,
A przez co ludzkość czuje, myśli, walczy, wierzy,
Ty to w sobie bezwiednie zgubisz i zadusisz,
Boś ty w pół — zwierz roboczy — ty pług ciągnąć musisz;
Ażeby inni białe mogli mieć kołacze!
Dziatwo kmieca! ja patrzę na ciebie i płaczę,
Boś ty bosa i głodna, odarta i brudna,
A mara snów mych pięknych, znać jest mara złudna,
Bo oto ta dziewczyna z modremi oczyma,
Gdym pytał o anioła, powiedziała: nié ma!
Nie zna go — do chat nizkich pod słomianą strzechą,
Nikt nie zstąpi z miłości siostrzanéj pociechą!...

MARJA - RÓŻA

Cicho! cicho mój bracie! w jasném swojém niebie,
Niechaj już Bóg słów takich nie słyszy od ciebie,
Ani ich echo żadne poda wiatrów tchnieniu.
Tam, gdzieś postać niebiańską ujrzał w objawieniu,
Stanie dziewczyna polska, cicha lecz wytrwała
I w łez swych czystych rosie, jak ta róża biała,
Którą poeta wyśnił kwitnącą na grobie,
Powie mogiłom ojców: ja ten balsam robię,
Który zgoić pomoże stare nasze rany!
Błogosław mi, błogosław bracie ukochany!
Bo oto ta, co wczoraj nie wiedziała prawie,
Czy nie jest tylko lalką w salonu wystawie,
Dziś się poczuła święcie pracownicą Bożą.
Przedemną tych chat nizkich głębie się otworzą,
Do mnie przybiegną rojem te dzieciątka bose,
Gdy wy im chleb dzielicie, ja dla nich przyniosę
Światła Bożego, chociaż mały promyk złoty;
I jak po jednéj matce zostałe sieroty
Uściskiem je do piersi przytulę siostrzanéj.
O tak! jam jest bogata w ten skarb nieprzebrany
Co się zowie miłością— on sam w sobie mieści
Wszystko, aż do pokornéj téj cnoty niewieściéj,
Co cierpliwości miano nosi, lecz jest przecie
Tylko zawsze miłością. Jak to cudu kwiecie,
Co w bajce wszelkich zamków wrzeciądze odmyka,
Ją wezmę na téj pracy mojéj pomocnika,
Aby to, co być musi twardsze od żelaza,
Zmiękła wiekowéj krzywdy pamięć i uraza.

BOLESŁAW

Wtedy, o siostro moja! nie schylaj już czoła,
Choć na ciebie głos Boga samego zawoła,
Pytając, co w téj wielkiéj godziny momencie
Do dzieł narodu twego dorzucić masz święcie,
Bo Mu powiedzieć możesz: Boże! ja z miłości
Dla téj ziemi, co nosi ojców moich kości,
Nie mogłam umrzéć śmiercią Wandy, ani owéj

Kapłanki Izraela, téj córy Jeftowéj,
Co w nieskalanéj bieli szaty swéj dziewiczéj,
Jak lilia się na ołtarz dała ofiarniczy.
Przecież ja za nią Panie niosę ci w ofierze,
Nie same łzy boleści, nie same pacierze,
Które słałam ku Tobie z ojców moich wiarą.
To ja pomogłam zamknąć onę bliznę starą
Przez którą w pierś zbolałą wielkiego narodu
Za straszny, pierworodny grzech mojego rodu,
Sączył się nienawiści jad, trujący życie.......

MARJA-RÓŻA

Bracie! bracie! w tym cichym powietrza błękicie
To tak głosu twojego dźwieczą słowa wieszcze?
To nie sen, nie złudzenie!!.. O powtórz je jeszcze
Powiedz mi, że w téj wielkiéj, w téj świętéj robocie
Do któréj się musimy w ciężkim dźwigać pocie,
Jest coś i dla mnie biednéj, nieśmiałéj dziewczyny.
O! jak łzy gwałtem płyną! Bracie mój jedyny,
Jak serce bije w piersi!.. Puść me dłonie drżące
Niech upadnę na ziemię, niech usta gorące
Przycisnę, jak do piersi matczynéj sierota!....

BOLESŁAW

Marjo-Różo! czy widzisz jaka łuna złota
Oblała ten sad cichy i chat nizkich czoła?
Marjo-Różo! ażaliż Bóg zesłał Anioła
Co ma być pośrednikiem téj biednéj krainy?

MARJA-RÓŻA (klęcząc pod lipą modli się głośno)

Ojcze! któryś jest w niebie odpuść nasze winy!
Daj nam Królestwo Twoje, a kiedy się stanie,
Już chleba powszedniego, będzie wszystkim Panie!

*Marja Ilnicka.*

---

# KRYSTYNA PONIATOWSKA.

**Wyjątek z drugiego niewydanego tomu dzieła Dra W. Szokalskiego „Fantazyjne objawy zmysłowe" z rozdziału o Extazie (zachwyceniu).**

---

Że egzaltacja umysłu bądź wrodzona bądź przez wychowanie nabyta do extazy usposabia, każdy pojmie łatwo. To zaś co egzaltacją zowiemy zasadza się na niezwykłéj ruchliwości uczuć i bujności wyobraźni; jeżeli zaś siła rozumu nie wystarcza do utrzymania na wodzy, z owego podwójnego źródła rodzących się wybryków, to ztąd powstaje nieład w całém mózgowém gospodarstwie. Wiek młodzieńczy i dziewiczy w którym duch nie ugruntował jeszcze swego panowania nad mózgową sferą, jest więc z natury swojéj do extazy skłonny. Płeć żeńska jest także nierównie skłonniejszą od męzkiéj, zimniejszéj powolniejszéj i nierównie więcéj panującéj nad sobą.

Ale nie tylko owe indywidualne usposobienia dają do extazy pochop, nierównie bowiem więcéj od nich wpływają na nią zewnętrzne, umysł egzaltujące stosunki. Między niemi fanatyzm religijny występuje na pierwsze miejsce, zwłaszcza ten który się w massach wyradza, wśród zaślepionego prześladowania. Extaza była niemal normalnym stanem przy kolebce każdego religijnego wyznania, a właśnie owo zapomnienie o sobie, ów niezwykły jakby natchniony umysłowy zakrój, zyskiwały jéj zawsze pewną reputacyą świętości.

Jakim sposobem atmosfera umysłowa w któréj się żyje, może podniecać extazę, jaką ona odgrywać może rolę wśród sfanatyzowanego towarzystwa, objaśni nam to następujący przykład, który tu tém chętniéj przytaczam, albowiem się dotyczy naszéj narodowéj przeszłości.

Mam tu mówić o Krystynie Poniatowskiéj owéj sławnéj hussyckiéj prorokini. „Ojciec jéj Julian, był potomkiem szlachetnéj rodziny na Duchnikach i żył w czasie rozognionych namiętności o wiarę za Zygmunta III, którego panowanie nową u nas rozpoczyna erę. W owym to czasie jakby straszne widmo przyszłości, przychodził do życia i wrzał zawzięty bój przeciw różnowiercom, co się aż skończył na rozpadnięciu przeszłości. Na tronie Jagiellonów zasiadł król apostoł. Otoczył się tłumem Jezuitów, a oko polskie które było przywykłe widzieć blask rycerskiéj Batorego korony i szablę szlachecką przy boku, ujrzało około tronu czarne sutanny, wybladłe

twarze, zapadłe i do góry podniesione oczy, a za długim szeregiem tych ponurych postaci, pastorał jako godło władzy duchownéj na ziemi. Wiek Zygmunta w charakter narodowy zaszczepił fanatyzm, ową straszną i nieznaną dotąd w Polsce poczwarę.

„Julian Poniatowski był synem swego czasu. Wąsaty szlachcic z hardą miną i kordem przy boku, skoro nim nagle zawładło natchnienie, porzucił szablę, ogolił wąsy, zrobił się pokornym i zaczął w samotności rozmyślać. Późniéj został księdzem, apostołował; późniéj jeszcze mnichem, biczował się i głodził, ale i tu wewnętrzna nie ustała walka, a gdy mu się nakoniec zdało, że prawdy Bożéj dojść nie mógł w katolicyzmie, przeszedł do hussyckiego obozu, szukając pociechy dla skołatanego fanatyzmem sumienia.

„Na Pomorzu przyjęli go serdecznie bracia czescy, jako nawróconego grzesznika, a Poniatowski sercem rozmiłował się w ich skrupułach, dysputach i urojeniach. Starszyzna uznała go za ministra słowa Bożego i nowy kapłan rozpoczął nowe dzieło apostolstwa. Późniéj ożenił się z Zofją na Wierzbnie Pawłowską, hussytką skolligaconą z wieloma wielkopolskiemi domami, z Leszczyńskiemi, Nideckiemi i t. d. Zofja chorowała także na fanatyzm, córka więc jéj Krystyna w r. 1610 urodzona w dobréj była wychowana szkole.

„Około tego czasu bardzo się byli już Jezuici rozgospodarowali w Polsce i reformatorom zaczęło być już na Pomorzu za ciasno. Mąż i żona przenieśli się więc do Czech, bo tam znowu dla hussytyzmu zakwitały nadzieje. Rozstrzelone stronnictwa zaczynały się jednoczyć i zdawało się że na tron czeski wrócą dawne Przemysławy. Tylko Zygmunt III nie widział tego że się zbliża chwila, jaką rzadko narodom zsyła Opatrzność.... Zajęty nawracaniem różnowierców niezwracał uwagi na pobratymców naszych, a szlachta o złotéj rozprawiała wolności. Inny król, mąż czynu, byłby żelazną ręką wyrwał Czechy z niedoli, przez właściwe ustępstwa położył tamę rodzącéj się reformacji.

„Okólnik Jezuicki z r. 1624 nakazywał ministrom reformy wynosić się z Czech za granicę; massami tedy przechodzili się do głębszych Niemiec i Polski. Poniatowski przyjęty był przez barona Zarotyn na Morawach, który mu ofiarował miejsce swego bibliotekarza; że zaś żona jego współcześnie umarła, córka więc Krystyna w rozkwitającéj młodości, znalazła w Branie gościnność u baronowéj Zarembiny na Engelbergu. Mąż owéj pani Wacław Zaremba był podług słów dziejopisa Krystyny, baronem z tytułu; z ciała zaś istotną bestją i prawdziwym Nabalem, jadł, pił, spał i nic nie robił. Żona jego hussytka oddana religijnym marzeniom, cicha i pokorna prędko mu zbrzydła, porzucił ją więc, otoczył się zgrają darmozjadów i opojów, osiadł gdzieś na innym zamku i hulał.

„Zaraz po przybyciu do Brania Krystyna chorować zaczęła, nie dziwota, bo też stan biednéj dziewczyny wygnanki na łasce u obcych, znękanéj prześladowaniem, męczenniczki we własném przekonaniu dla dobréj sprawy, był nader opłakanym, zwłaszcza że wychowanie zatruło już jéj przyszłość, rozogniając coraz bardziéj i tak już jéj rozmarzoną imaginację. Prócz rozmów pełnych nienawiści, dostarczano jéj pietystycznych książek, które ją coraz bardziéj rozdrażniały. Zagłębiała się mianowicie w apokalypsie, dziwiła się, że nie było już na świecie proroków i przeczuwała epokę czystéj wiary, którą przyniesie na ziemię nowy jaki prorok, stwarzający nową dla ludzkości drogę. Wśród takiego umysłu usposobienia rozwinęło się w niéj zwolna, o ile sądzić można z opisu, histeryczne cierpienie, owa plaga dziewcząt egzaltowanych przy ich wejściu na świat. Zjawiły się bóle głowy, ściskania w sercu, niemoc, konwulsyjne napady i sny niespokojne dające jéj widzieć na niebie krzyże i rózgi, aniołów zwiastujących przyszłość i t. d.—Są to zjawiska bardzo dobrze dziś znane, lecz w XVI wieku kiedy jeszcze djabeł i anioł materjalnie mieszkali na ziemi, biorąc ciągle w sprawach ludzkich udział, widzenia te musiały nie mało wpływać na wyobraźnie ludzi, którzy ją otaczali i w wyjątkowém stawiały ją świetle. Wielce uczony doktór *Libavius* był wezwany do Branu, lecz skoro nic nie poradził, wezwano pastorów i grono zagorzałych teologów otoczyło chorą. Napady przybierały

tymczasem extatyczny charakter i naturalną rzeczy koleją, zaczęły się sypać proroctwa, w których tém większą pokładano wiarę, iż przepowiadała zawsze i to bardzo trafnie swoje następne napady, kiedy zaś napad nadchodził cierpiała boleści, jęczała, rzucała się, a potém siadała na łóżku, oczy jéj błyszczały ogniem, twarz zawsze blada ożywiała się niesłychanie, ręce błądziły po powietrzu, a z ust wychodziły słowa urywane, zagadkowe i często niezrozumiałe. Wśród takich zachwyceń albo coś sama pisała, albo dyktowała pastorom; pisma te chwytano, przepisywano i czytano wszędzie, a sławą dziewicy jako prorokini rosła i rosła.

„Na zamek zjeżdżało się mnóstwo ciekawych, a najzimniejsze wśród hussytów głowy, nie gniewały się bynajmniéj o to, że im tryumfy zapowiadano, goniec umyślny zaniósł wieść do ojca, sądzono bowiem że się bardzo ucieszy.— Krystyna tylko która już była uwierzyła w swoje posłannictwo, zapewniała w swoich extazach, że jéj ojciec wierzyć nie będzie; istotnie też nie przyjechał; Zarotyn przysłał tylko Teodora Krotosińskiego do sprawdzenia faktu, co było przyczyną ze strony Krystyny wielkiego lamentu: „kiedy mi własny ojciec nie wierzy, mawiała, to czegóż się mogę od innych spodziewać,“ a gdy ją płaczącą uspakajano, to zapewniała że nie dla tego płacze że nieprzyjechał, ale że w liście swoim nie chce ją uznać za prorokinię, a potém mawiała jakby w extazie: „zmiłujcie się nademną i proście Boga ażeby mi język rozwiązał do opowiadania godnie cudów swoich — ach! ileż boleści w sercu że mi ojciec nakazuje milczenie; ja zaś chociażby nie tylko ojciec ale świat cały nakazywał mi zamilknąć, to zamilknąć nie mogę, bo potrzeba ażeby przezemnie po świecie roznosiły się cuda i zamiary Boże.“ Naturalnie że jéj przekonanie w swe posłannictwo musiało być obrażoném, skoro jéj ojciec takie pisał wyrazy: „proś Boga ażebyś do zdrowia wróciła, ażeby cię uwolnił od téj okropnéj choroby na którą cierpisz. Przyszedłszy do siebie strzeż się tylko wdzień ogłaszać przed światem, bo są one l i tylko owocem twojéj rozbujałéj wyobraźni 'dosyć jest już tych widzeń w katechizmie ro, zumiéj tylko artykuły wiary i żyj wedle Boskich przykazań. Nie chcę żebyś była prorokinią, bo nowych proroków nie rozumiem i nie mam ich za nic. Jeżeli ci Bóg zdrowie przywróci, to donieś mi zaraz, że już twoich opętań nie cierpisz.“ — Ale Krystyna w ścisłém przekonaniu swojéj nieomylności, na żadne nie zważała przestrogi. Była ona przygotowana na to że jéj nie poznają, że będzie wystawiona na prześladowanie a nawet i męki, pewna że jéj za to po śmierci pomniki wystawią „żądam tylko, mawiała, ażeby z moich objawień żadnego nie uroniono słówka, chociażby się też na pozór coś niepodobnego znalazło.“

„Wszelako uporczywiéj coraz krążące proroctwa i nowe listy z Branu, przestraszały Poniatowskiego i umyślił sam córkę odwiedzić — przewidziała to Krystyna mówiąc w swoim napadzie: „dziś ojciec przyjedzie i zobaczy rękę Bożą nademną.“ Przybył też wkrótce, ale zły i rozdrażniony wymawiał wszystkim że mu córkę obłąkano. Nie spodziewał się bynajmniéj, że sam wkrótce obłąkaniu ulegnie. Bo też Krystyna odtąd coraz częściéj dostawała napadów w których deklamowała, śpiewała psalmy i przepowiadała upadek przeciwników i tryumf swego wyznania; wpadała potém w szał i najwymowniejszemi wykrzyknikami, wyklinała prześladowców swego kościoła, przepowiadając im nieszczęścia, śmierć i klęski. Truchlano ze strachu, zamykano drzwi i okna w obawie aby coś z tego nie doszło do uszów Wallensteina, który wtedy w imie cesarza Czechami zarządzał. Biedny ojciec zmiękł słysząc te głosy, zwłaszcza gdy mu córka wprost jego niedowiarstwo wymawiać zaczęła i jako syn swojego wieku, uznał w niéj Boże natchnienie. Bawił przy niéj dni kilkanaście, odjeżdżając zaś zgromadził wszystkich w wielkiéj sali zamkowéj i żegnając się z córką rzekł do niéj: „kiedy Bóg cię przysłał córko moja i kiedy zrobił z ciebie narzędzie świętéj swéj woli, bądźże mu nietylko posłuszną, ale i wierną we wszystkiém co ci powierzy i nie dodawaj nic ani odmieniaj.“ — „O to się nie troszcz, ojcze kochany, ja kiedy pióro biorę do ręki, sama nie wiem jakim sposobem lecą mi wyrazy na papier i nic zmienić nie mogę.“ — Ojciec opuścił zamek zaklinając o największy sekret, aby

się nic do Wallensteina nie doniosło coby nowe mogło wywołać prześladowanie.

„To wielkie nad ojcem otrzymane zwycięstwo utrwaliło reputację prorokini i odtąd nie było końca widzeniom, nadziejom i przepowiedniom — widzeniom, czczym marom wyobraźni, nadziejom które zawodziły, proroctwom które się nie sprawdzały — przekleństwom które nie szkodziły nikomu. Widziała smoki, węże, lwy, niedźwiedzie i tygrysy, które się gryzły i targały, były tam konie z dwiema głowami, osły z trzema, drzewa i domy które lwy szarpały, słowem cała symboliczna menażerja — czytajcie o tém jeżeli chcecie, mówi Bartoszewicz, książkę czeskiego pastora, który to wszystko troskliwie spisywał, bo fanatyk byłby sobie za grzech poczytał gdyby był choć jedno słówko wypuścił. [1])

„Po odjeździe ojca widzenia jéj były bardzo częste. Raz zdawało się jéj że anioł w imieniu Boga kazał jéj napisać list do Wallensteina prześladowcy i zanieść mu osobiście do rezydencji książęcia w Giezynie. Wygotowała tedy listy, złożyła, opieczętowała. Ale trzeba towarzyszów podróży. Zaproszone baronowa Sternberg, pani Sadowska z Polski i doktor Libavius. Sternbergowa bojąc się, grzecznie wymówiła, ale przysłała powóz i konie. Zlękła się i p. Sadowska bo poselstwo było zbyt niebezpieczne, jednak po wielkiéj walce i naradach, z Trzemeszna zjechała do Brania. Urządziwszy całą podróż w największéj tajemnicy wyjechali we troje: Krystyna, Sadowska i doktór. W drodze raz tylko widziała aniołów prorokini, zresztą podróż była spokojną. Przybywszy do Giezyny, Wallensteina niezastali, wyjechał do Wiednia. Księżna sama była na zamku. Krystyna zasłabła i została w domu, wyprawiwszy Sadowską z listem do księżnéj. Drżała jak listek biedna posłannica kiedy stanęła przed żoną potężnego człowieka, co sam silnemi ramionami dźwigał katolickie cesarstwo i dom Rakuski. Przekładał jéj pokrótce cel swojego przybycia, że młoda panna bardzo chora napisała list do księcia i prosiła jéj żeby oddała ten list na zamku w ręce księżnéj. Księżna Friedlandzka kazała się stawić nazajutrz rano autorce listu. Były to czasy strachów i nieufności, w każdéj przysłudze znajdowano interes, w każdéj prośbie widziano podstęp i księżna się zlękła, nie wiedziała czy list przyjąć lub nie. Odesłała tedy Sadowską, a na poradę wezwała Jezuitów. Ojcowie wpadli także na myśl, że list może być zatruty przez hussytów, że to zamach na życie obrońcy katolicyzmu. Radzili więc swojéj pani, przyjąć list ale nie w ręce, a kazać oddawczyni żeby go położyła na stole. Tak nie tknięty miał leżeć cały czas, aż do powrotu księcia ze stolicy. Wieść tymczasem o przybyciu jakiéjś pięknéji choréj dziewicy, o tajemniczym ciekawym liście, z ust przebiegła do ust i całe miasteczko zaintrygowała Nazajutrz, wszyscy mieszkańcy wysypali się na ulice, żeby zobaczyć interessującą nieznajomą i jéj pochód do zamku. Ciekawi wsunęli się i na zamek. Nastąpiły ceremonje przyjęcia, po których Krystyna pismo swoje złożyła na wskazanym sobie stole. Księżna Friedlandzka ujęta była jakąś litością, tak cierpienie widać było w pięknych rysach wygnanéj Polki. Wypytując się o jéj słabości, radziła sama lekarstwa, gdy ni ztąd ni z owąd Krystyna wpadła w extazę i cudnych nagadała rzeczy, osobom który się tego najmniéj właśnie spodziewały. Jeżeli się każdy dziwił słuchając cudów, kto znał Krystynę, jakże się nie mieli dziwić ludzie którzy ją pierwszy raz w życiu widzieli? To téż zdziwienie ich przechodziło granice. Stali jak w ziemię wkopani. Na panią Sadowską śmiertelne poty wystąpiły. Bała się wydania tajemnicy. Tylko jedna księżna z dobrocią zaprosiła nieznajome sobie dwie kobiety na obiad, a księża Jezuici przemyślali jakby zajrzeć do listu. Bo extaza Krystyny i jéj dziwne niepojęte słowa obudziły sumienie ojców, a teraz już mogli się spodziewać, że schwycą jakąś nić tajemnego podstępu. Rozłamali tedy pieczęcie, zajrzeli do listu i jednym głosem krzyknęli: „to antychryst, to djabły!“ Wpadli do księżny: „Księżna je musisz aresztować na zamku,

[1]) Historia Revelationum Christophori Kotter — Christinae Poniatoviae Nicolai Druzbicii et quae circa alias variae acciderunt usque ad eorundem anno 1657. publicationem et postpublicationem d. — Anno 1659. pag. 31 ad 137.

to jakieś prorokinie, plemię szatańskie, grożą nam, książęciu, religii naszéj, przepowiadają jakiś tam tryumf dla jakiéjś innéj wiary" ale księżna nie dała się na ten stanowczy krok namówić; czuła w sercu litość. Tymczasem nie było chwili do stracenia. Na pierwszą wieść o tém co się stało, dwie podróżne szybko oddaliwszy się z zamku, opuściły miasteczko i ślad ich zginął nawet dla Jezuitów. Ale w téj ucieczce zdaje się znowu Krystynie, że widzi aniołów zstępujących z niebios, otaczających majestat Boży, a Bóg rzekł do niej: „nie chcę żebyś dłużéj pozostała na téj ziemi, przeniesiesz się do Leszna do Polski..." Krystyna zapytała: „jakże to potrafię?" A Pan jéj odpowiedział: „Sadowski cię przeprowadzi." — „A jeżeli nie zechce?" — „Nie bój się każę mu, a zrobi to. Ja ci i tam przygotuję przyjaciół i nieopuszczę cię." — Posłuszne wyrokowi niebios Krystyna z p. Sadowską, rano nazajutrz wyjechały do Trzemeszna. Pan Sadowski (baron?) zapalony hussyta, przyjął prorokinię z uszanowaniem i oddał się na jéj usługi. Wróciła tedy do Brania, pożegnała opiekunkę swoję, rozporządziła wszystkiém i wyjechała do Polski. Tu na granicy spotkał ją Sadowski, pastorowie, starcy i ludu czeskiego tłumy, z tryumfem poprowadził ją do Leszna, gdzie odbyła jakby uroczysty wjazd. Witana jak prorokini, jak święta. I istotnie, Krystyna Poniatowska była jakby jakąś patrjarchalną istotą całéj rodziny czeskich wygnańców; przed nią małe tylko oddziały, po jéj zaś ucieczce całe tłumy przez Szląsk, Morawy emigrowały do Polski. Kochali ją jako osobę natchnioną, wierzyli w nią jak w bóstwo. Ucieczka podniosła ją niezmiernie w opinji czechów i sławę jéj piorunem rozniosła po katolickich i niekatolickich ziemiach. Sądzono że prześladowana, a więc cierpi za prawdę.

„Nie długo po tym wypadku ojciec jéj umarł. Krystyna płakała, ale na ziemi ojczystéj sama jedna, nie zaprzestała proroctw. Otoczyli ją bracia czescy spółwiercy wygnańcy i szlachta polska chciwa nowych wyobrażeń, bo była jakby sercem tego ogromnego ciała. Wszystko się jéj radziło, wszyscy uciekali pod jéj opiekę. Sądzono że może robić cuda. I ładnie było pięknéj obłąkanéj, ale natchnionéj polskiéj dziewicy w gronie siwych poważnych mężów, pastorów, magnatów, matron, spółwierców co na nią patrzyli jak dziecko na matkę, co w nią wierzyli jak lud w Boga zbawcę.

„Spółwiercy wszystkiemu a nawet jéj dziwactwom wierzyli i tak: raz siedziała Krystyna po obiedzie pod cieniem drzew lipowych i jak zawsze otaczało ją grono ludzi poważnych; przynieśli jéj wieść z Czech o Wallensteinie, o bojach, o królu szwedzkim, który może wda się w wojny niemieckie i pułki zwycięzkie poprowadzi na Wiedeń, o intrygach Richelieugo i t. d. Krystyna słuchała w milczeniu, a powstawszy nagle zapytała się: „kto chce iść za mną?" poszedł Jonstyn i medyk Stephani który co tylko z Czech przybył. Ledwie przyszli na pole, zaczęło się widzenie Krystyny. Siadła na ziemi i przyjmowała aniołów, którzy jéj oddali listy z północy, wschodu i zachodu i południa. Pieczęcie na nich były wielkie rozłamała je z gniewem, przeczytała, ale treść musiała jéj być przykrą, bo je rzuciła na ziemię i podeptała nogami. Wreszcie Bóg się pojawił. Odprawiła aniołów i szła z nim daleko za miasto aż do lasu. Tu siadła pod drzewem, uplotła wieniec, włożyła Panu na głowę potém wstała pożegnała się z Nim i powróciła. Patrzali na nią jéj towarzysze sami nie wiedząc co się to wszystko znaczy. Potém im dopiero objawiła rzecz całą. I oni jéj uwierzyli!... że rozmawiała z Bogiem! że odbierała listy od aniołów!... We cztery dni potém przyjechał z Rusi do Leszna Rafał Leszczyński wojewoda Bełski, z panią wojewodziną, Radzimińską z domu, wielki bogacz i dziedzic Leszna. P. wojewoda już od dawna przeniósł się był na Ruś i tam szukał związków i przyjaźni. Chciał braci swoich po śmierci ojca wychować po kalwińsku, ale macocha jego z domu Opalińska nie pozwoliła na to, wojewoda poszedł do sądu i przegrał. Na Rusi chciał zapomnieć żalu i zapomniał go wśród innych zajęć, teraz zaś listy wezwały go na powrót, bo bracia czescy chcieli się osiedlić w jego posiadłościach, a mając im to zapewnić trudno się było spuszczać na komissarzy. Po 12 więc latach dobrowolnego wygnania, wśród orszaku jakiego mu król mógł pozazdrościć, wjechał do Leszna. Całe mia-

sto witało pana pieśniami i łukami tryumfalnemi.—Wojewoda będąc bardzo czynnym, wydawszy rozkazy rozporządził wszystkiém. Zajął się też zaraz i Krystyną, ta dziewica bowiem zainteresowała go bardzo; mawiał że to jego jakaś krewna ze strony babki i wyznaczył komissję w celu rozpoznania, czy jéj proroctwa nie pochodziły czasem ze zbytniéj drażliwości nerwów. Sam jak się pokazuje nie zupełnie dowierzał] temu co ludzie o prorokini mówili. wców, że wszystkie proroctwa Krystyny przypisać należy żółci, krwi i humorom, że narodzona z ojca wygnańca, wychowana pomiędzy teologami zapewne nieraz czytywała Apokalypsis, albo coś o tém słyszała, że ztąd mogło się coś zawieruszyć w głowie niewinnéj dziewicy i albo całkiem zmyślała że coś widzi, albo udawała że więcéj widzi jak jéj się zdawało. Do tego przyłączyli kilka przykładów wyjętych z kronik podobnych Krystynie prorokiń. Tak uczeni



Krystyna Poniatowska w obec żony Wallensteina.

Kommissja owa składała się z samych lekarzy: włocha Bonacina, Macieja Borboniusza doktora trzech cesarzów rzymskich a na starość wygnańca, rodem czecha i Sztencla nadwornego III Zygmunta. Do nich przydany był Jan Jerzy Schlichting sędzia Wschowski i administrator hrabstwa Leszniańskiego. Sprawozdawcami byli Libavius medyk, Komeniusz i Stadiusz teologowie i Jan Jonston kandydat medycyny, ludzie którzy znali doskonale pannę Poniatowską.

Kommissja rozpoczęła pracę i po wielu naradach wyrzekła przez usta sprawozda- widząc rzeczy jak były w istocie, obrywali liść za liściem z wieńca Krystyny i z prorokini robili ją kobietą pomieszanego umysłu.

Napróżno obrońcy Poniatowskiéj przytaczali że ona na żółć nie cierpiała, iż się wychowała nie między teologami lecz w gronie kobiet. Jak gdyby kobiety nie umiały rozprawiać o teologji i być fanatyczkami! A przecież to pani baronowa Zarembina pierwsza w Branie nazwała wychowanicę swoję prorokinią natchnioną z nieba i pierwsza zaczęła jéj głowę zawracać.

Ale to było jakby przeznaczeniem Krystyny że najniewierniejszy bo sam Bonacina

w końcu w nią uwierzył i zachwiał się w swojém mniemaniu o jéj proroctwach. Pewnego dnia prorokini prosiła do siebie Komeniusza. Chciała go widzieć, rozmawiać z nim. To był powiernik jéj serca i uczuć, przyjaciel szczery z poświęceniem się. Krystyna była bardzo słabą. Z pastorem poszedł Bonacina i wielu innych, o 6téj przypadł wielki atak epileptyczny, po trzech kwadransach powtórny jeszcze silniejszy, potém trzeci a największy po 9téj. Nadeszła i sama p. Leszczyńska z domownikami. Po okropnych boleściach które widzieli wszyscy i litowali się nad biedną cierpiącą, Krystyna wpadła w extazę która trwała pół godziny. Nic nie wyrażała słowami ale giestami niezrozumiałemi. Usiadłszy obejmowała kogoś ręką, całowała i słuchała, jakby czyjéjś mowy. Potém jakaś nadzwyczajna radość zajaśniała w jéj oczach, drżącą ręką dotyka się skroni swoich, serca, pulsu, dziękuje komuś, wita znów kogoś, mo dli się, składa ręce, klęka na łóżku, nareszcie podaje rękę i żegna gościa. Kiedy ten gość odszedł, przyszła do siebie i prosi mężczyzn żeby wyszli. Wtedy kazała sobie podać suknie, ubrała się i znów zdrowa jakby nic nie było, jakby niecierpiała i chwili. Dziwią się ciekawi i pytają coby widziała? „Starzec jakiś stanął przy mnie i rzekł mi: oto powracam do ciebie i zdrowie twoje ze mną. Dobrześ zrobiła żeś zniosła cierpliwie ukaranie moje — a teraz powstań a wkrótce będziesz zdrowa.“ — Bonacina naoczny świadek przekonał się że to nie było udanie, we wszystkiém co się tyczyło Krystyny nie można było niewidzieć jakiéjś nadzwyczajności. Mogła ona być obłąkaną dziwactwem jakiemś, fanatyzmem, chimerą, ale to nie było udanie, to było wszystko w dobréj wierze. I mędrzec wzruszył ramionami, kiwnął głową i rzekł: „to nadnaturalne, to nadnaturalne! Tutaj i medycyna nic nie pomoże!“ — I on się zachwiał uczony medyk i on na pół uwierzył.

Ale zapowiedzenie sennego starca w istocie spełnić się miało: — nadchodził czas kiedy miały raz się zakończyć przywidzenia Krystyny. Właśnie wtenczas senior duchowny kościołów braci czeskich w W. Polsce 60 letni Marcin Gracjan, parafję swoję w Ostrogu polecił staraniom Pawła Palnira. Sam spracowany, chciał w spokojności życie zakończyć. Do Leszna przywołały go miłe wspomnienia kiedy był jeszcze prostym ministrem. Tam się więc udał bo chciał poznać osobiście prorokinię swego kościoła. Mały domek zbudował sobie w ogrodzie parafjalnym, wydzielił pokoik koledze swemu niegdyś seniorowi konsystorza pragskiego Janowi Cyryllowi i razem we dwojgu starcy nieśli brzemię życia, które im jeszcze nieść pozostało. Odwiedzali często Krystynę i byli dla niéj z religijném poszanowaniem. Uwierzyli w nią, jak uwierzyli wszyscy, a prorokini miała tę pociechę, że koło niéj grupowało się wszystko co tylko było znakomitszego na jéj wygnaniu.

Ostatnie widzenie przez extazę było 29 października. Odtąd dziewica wpadała tylko w sen ciężki a w nim trwożyły ją mary okropne. Widziała straszliwą mękę Wallensteina jak ledwie oddychał, przywalony ciężarem, a z ust mu płomień wybuchał, i krew płynęła z serca. Widziała tryumf przyszły Fryderyka V. elektora i króla czeskiego. Widziała zwycięzkiego Gustawa rozwijającego chorągwie za wolność Niemców. Takim sposobem przepowiedziała koniec okropnéj burzy, co aż w posadach wstrząsnęła Europą i nazywała się wojną 30letnią. Na jawie rozpowiadała sny swoje cudowne, a każdy jéj wyraz zaraz przez ust tysiące przelatał i nadzieja do tyluż serc kołatała. Powiedziała że pokój ustalą ciężkie boje i świat odetchnie radością.

Kiedy już te wszystkie przepowiednie były powiedziane, jak gdyby skończyło się posłannictwo Krystyny, raz jéj anioł powiedział we śnie. „przygotuj się! a apopleksja zakończy twoje cierpienia...“

Istotnie niedługo potém koło łoża cierpiącéj prorokini, zebrało się mnóstwo ciekawych i wierzących. Słychać było czasami płacz tłumiony, boleść rozlewała się po twarzach obecnych, milczenie grobowe panowało w komnacie. Tu na łożu cierpienia, w mękach, w konwulsjach okropnych dogorywała Krystyna Poniatowska. Nagle ustały boleści, oczy przewróciły się w koło, puls zadygotał śmiertelnie i skonał, twarz była trupio blada do przerażenia, życie zgasło, policzki wpadły, widać anioł śmierci przeleciał po komnacie. I wreszcie ostatni

słaby oddech uleciał z piersi, zamknęły się oczy, ręce bezwładnie opadły. Krystyna skonała. W nieméj boleści uklękli wszyscy przytomni i modlili się gorąco do Boga. Po wszystkich twarzach spłynęły łzy. Najwięcéj jednak dwaj starcy pastorowie cierpieli.

Było to wszakże złudzenie, atak letargiczny trwał czas jakiś i ustał wreszcie. Krystyna się obudziła na pociechę spółwierców swoich, ale to obudzenie się jéj było dziwne, niepojęte, cudowne. Krystyna przestała być jasnowidzącą i jéj cuda ustały. Nowa epoka rozpoczęła się w jéj życiu.

Niedługo przecież nowa, ciężka strata dotknęła hussytów polskich. Marcin Gracjan umarł w Lesznie. Chcieli pastorowie wyprawić wspaniały pogrzeb niegdyś zwierzchnikowi swojemu w W. Polsce. Wyznaczono dzień pogrzebu. Na trzy dni wprzód zbiegli się ministrowie hussyccy z Polski, Prus, Pomorza, Czech nawet. Zebrało się do 50 ministrów, obrzęd żałobny rozpoczęto wsród śpiewów i wielkiéj ilości światła. Po skończonym obrzędzie jeden z ministrów wniósł otworzenie synodu dla wydania rozporządzeń mających na celu proroctwa Krystyny. Naturalnie jéj posłannictwu niewierzyło wielu ludzi co rozumem nie uprzedzeniem zgłębiali rzeczy, a katolicy jawnie się z niéj natrząsali.

Synod na prędce zebrany oddał pod ścisły examen widzenia Poniatowskiéj. Długie były debata i narady. Mieli w nich udział sam Tarnowski, Komeniusz i Stadiusz Krokosiński.

Miała widać Krystyna przeciwników ale miała większych przyjaciół. Synod obydwom stronom nakazał zupełne milczenie. Milczenie takie wydaje wyrok zawsze na stronę podejrzanego. Nie jeden przykład w tym względzie przytoczyćby można z dziejów katolicyzmu. Milczenie takie broni osobę, jeżeli nie ono to klątwa, a klątwy synod Leszniański nie rzucił na Krystynę.

Odtąd zupełnie ustały proroctwa i widzenia pięknéj prorokini. Wszystkie jednak jéj pisma pochowano jak świętość, jak relikwje. Cześć i poszanowanie odbierała wszędzie. Zawsze koło niéj cisnęły się tłumy spółwierców. Ministrowie zawsze zasięgali jéj rady i patrzali na nią, jak na swoje opiekuńcze bóstwo. Na jéj żądania przyzwalali chętnie, jéj prośby wypełniali natychmiast. Lud prosty żegnał się kiedy ją widział i dotykał się jéj sukni jakby relikwji jakich.

Następnie przyszła zupełnie do zdrowia, a w miarę jak krasny rumieniec zaczął oblewać jéj lica, prorokini zaczęła inne rodzić uczucia, zwłaszcza wśród otaczającéj ją hussyckiéj młodzieży. Miała natenczas lat 19 lecz wszystkich przyjmowała obojętnie. Pogrążona w dumaniach, nie miała czasu myśleć o ziemskiéj miłości. A jednak dla dziewicy samotnéj bez wsparcia, bez opieki, mogły być wówczas jedyną obroną poważne śluby małżeńskie.

W październiku 1622 nadchodził synod. Krystyna idąc za radą pastorów, zdecydowała się los swój w jego ręce powierzyć bo była wychowanką kościoła. Synod złożony z sześciu najstarszych ministrów zajął się nią po ojcowsku. Codzień zastawiano wspólne stoły po obradach, bo u hussytów i prace i spoczynek, zawsze dla wszystkich były razem. Przed ostatnią taką ucztą, w obec wszystkich odbył się uroczysty ślub Krystyny z Wawrzeńcem Justynem, tylko co poświęconym ministrem. Ślub który zbór Leszniański i bracia czescy, z wielką obchodzili uroczystością.

Lat 12 i dwa miesiące w największéj zgodzie żyła z mężem swoim Krystyna. Dobra, łagodna, uprzyjemniała jego życie, na ziemi rajem mu była. Pożycie jéj z mężem służyło wszystkim za przykład. Późno już bardzo późno rozeszły się wieści, że w wieku dojrzalszym odwołała wszystkie swoje jasnowidzenia i proroctwa. Doniesiono o tém jéj biografowi, a on aż z Pomorza do Leszna umyślnie przybiegł dowiedzieć się czy to prawda? Zląkł się poczciwiec o świętość swojéj prorokini. Krystyna zaparła odwołanie, powiedziała że to o niéj mówią złe języki i dziwiła się opiekunowi swojemu, jak może wierzyć takim dziwacznym szemraniom.

Wpatrując się bliżéj w osobistość i położenie naszéj polskiéj prorokini, mimowolnie przychodzi nam na myśl jéj porównanie z dziewicą Orleańską. Gdyby Krystyna była więcéj kobietą czynu, jak kobietą marzenia — gdyby była wychowana wśród szczęku oręża, nie zaś wśród dysput teolo-

gicznych, gdyby natchnięta swém posłannictwem, umiała była uchwycić dawną Taborytów chorągiew, a oblokłszy się w żelazo i dosiadłszy konia umiała oczarować żołnierzy tak, jak umiała czarować teologów, gdyby się była odziała urokiem jakiegoś odniesionego zwycięztwa, ten sam zabobonny Wallenstein byłby w nią uwierzył i śmielej sięgnął ręką po czeską koronę. Porozumiawszy się z rycerskim Gustawem Adolfem, książe Friedlandu dałby był pewnie radę niemieckiemu imperium, a kto wié natenczas czyby poetyczna postać Joanny nie była zbladła przed Krystyną; kto wié czyby nieopowiadano o niéj tysiące legend i nie śpiewano tysiąca pieśni. Otóż to w ten sposób zachwycenie, staje się nieraz duszą historycznych wypadków: bo dwa są światy obok siebie żyjące, świat myśli i świat materjalnego czynu, każde wstrząśnięcie w jednym musi w drugim odezwać się echem, a kto w historji świata widzi tylko fakta, zmiany geograficzne i zimne polityczne obrachowania, tego wzrok ślizga się tylko po jéj powierzchni.

---

# KAPLICA ZYGMUNTOWSKA W KATEDRZE KRAKOWSKIEJ. [1]

Kaplica Zygmuntów stoi przyparta do południowéj ściany katedry, od strony pierwszego dziedzińca a głównego wchodu do królewskiego niegdyś pałacu, tak że z kaplicą Wazów stanowi jakby boczną facjatę kościoła. Między obiema temi (jednako zewnętrznie zbudowanemi) kaplicami, jest wejście do bocznéj nawy świątyni.

Dwie widne zewnątrz ściany i trzecia od narożnika, ułożone z wielkich płyt szarego piaskowca, to w czworoboki, to w kwadraty skośne starannie ciosanych. Górą obiega gzyms z belkowaniem, wsparty na pięknych gęsto nasadzonych medalionach. Fryz opisują słowa z 25 psalmu (wierszu 8): *Domine dilexisti decorem domus Tuae. Non nobis Domine, non nobis sed nomini Tuo. M.DXX.*

Na ścianie od strony wschodu do kościoła, w pośrodku zamieszczono napis świadczący, że w roku 1520 zaczął stawiać tę kaplicę Zygmunt I, na cześć N. M. Panny, patronów polskich i na grób dla siebie.

Na drugiéj znów ścianie widać w pośrodku pięknie rzniętego orła, który (ogółem swego rysunku i głoską S koło szyi i nogi przez piersi przeplecioną) różni się od herbu państwa z innych epok i ztąd zygmuntowskim go zwiemy. Pod orłem owym znów napis ku czci fundatora.

Nad gzymsem obiega ośm nisz okrągłych, w których zamieszczone okna, a ponad temi wzniosła się z ciosów kopuła, miedzianym grubo złoconym dachem w łuszczkę nakryta.

Rzeźbami strojną wspaniałą arkadą wchodzi się z kościoła do kaplicy — a wchód ten zamyka misternie z gustownych ozdób i gzymsowań ułożona brązowa balustrada. Zdobią je pięknie rznięte Orły, Pogonie i Węże Bony Sforcji.

Nad balustradą zawieszono pochyło trzy wielkie obrazy, wystawiające w całkowitych postaciach fundatorów kaplicy. Na środkowym (jako i dwa drugie na płótnie malowanym) wizerunku, widzimy w pąsowéj sobolami oszytéj delji Zygmunta Starego — w około herby dwunastu województw — u góry wizerunku podpis, świadczący że w roku 1548 malowanie wykonane.

Dwa boczne obrazy wystawiają Zygmuntową córkę, Annę Jagiellonkę — ten po lewéj przypomina nam jéj postać w stroju

[1]) Opis ten nadesłany nam przez znanego zaszczytnie z prac archeologicznych p. Józefa Łepkowskiego pośpieszyliśmy drukować, sądząc tém zrobić przyjemność czytelnikom naszym. Towarzystwo naukowe Krakowskie od lat dwunastu zajmuje się odnawianiem starożytnych pamiątek tego miasta z darów pojedynczych osób. Za summę ofiarowaną na ten cel przez hr. Aleksandrę z Potockich Potocką, odrestaurowano 30 nagrobków po spalonych kościołach. P. Józef Łepkowski jest prezydującym w komissji restauracji pomników, z łona Towarzystwa Naukowego delegowanéj. (Przyp. Red.)




Katedra na Wawelu od strony zygmuntowskiéj kaplicy.

koronacyjnym, ów po prawéj w ubiorze wdowim.

Wejdźmy teraz w to wspaniałe wnętrze, w ten rozkoszny ogród, gdzie z kassetonów kopuły zdają się sypać róże i bogate girlandy. U wierzchu owéj pysznéj kopuły otwarła się z ośmiu oszklonemi arkadami latarnia, a z pod tramowania *(trabeatio)* na którém tę kopułę wsparto, ośm kolistych okien wybiegło z ozdobnych, wieńczonych nisz [1]), lejąc światłem na labirynt kwiecistych ozdób w mistrzowskich wydanych rzeźbach.

Jeśli w jakim budynku stylu odrodzenia *(renaissance)*, to w téj skończenie pięknéj kaplicy można się przeświadczyć: że nawet uczony Dr E. L. Stieglitz zbyt surowo osądził epokę powrotu do klasycyzmu w wieku XVI, gdy orzeka: że ta architektura raczéj malowaną a nie rzeczywistą się wydaje.

Zapewne, środkowa Europa, owo gniazdo ostrołukowych katedr, co prawie po jednym wzorowym na każdy kraj posiada budynku w stylu wczesnego odrodzenia, nie mogła nasunąć pod uwagę piszącemu autorowi doskonałych wzorów. Jak skoro Czechy mogą pokazać tylko pałacyk w zamkowym pragskim ogrodzie, a reszta ledwo przedsionek ratusza kolońskiego i część heidelbergskiego zamku; wreszcie tu i owdzie jakiś ornament, lub gmachy w tym charakterze w nowszych powstałe czasach: w Dreźnie, München, Berlinie i Wiedniu.

Ścisłe związki Polski z Włochami w XVI stóleciu i to upodobanie w klasycyzmie, charakteryzujące literaturę naszą tych czasów, sprawiły, że nie jednym budynkiem z owéj epoki pochlubić się możemy. Pomijając zabytki z czasów przejścia ostrołuków w styl odrodzenia, znaczniejsze w dawnéj Polsce budowle czystego wczesnego renesansu są: kolegjata w Łasku pod Sieradzem — kościoły: w Pułtusku, Janowcu, Okszy, Chrobrzu, Krasnem, Supraślu, Szamotułach, Służewie, Lublinie; zamki: wnętrze krakowskiego (dzieło Włochów Franciszka i Bartłomieja Florentczyka), w Janowcu, Krasiczyznie, Szamotułach, Grodnie, Brzeżanach, Działoszynie, Ołyce, Podhorcach, Dobromilu, Strzyżowicach, Mirze, Gołuchowie, Szreńsku, Mokrznie, Tuczynie, Siewierzu— ratuszu: w Pabianicach, Szydłowcu, Tarnowie, prochownia w Rożnowie etc. A jako doskonałość nie powstydzim się wskazywać zygmuntowską kaplicę. Jest w niéj bogactwo i rozmaitość ozdób a wzorów: w nagłówkach i podstawach kolumn, żłobkowaniach, plecionkach, palmetach i tych bramowaniach *(bordure)* z owych niby sznurów pereł lub równianek z liścia i owocu. W nich, to mignie główka aniołka, to zamajaczą esy floresy, lub zwinne ślimacznice *(meandre)* — to znów *capo di bove* niby na kontrast lekkim oplecie się wisiorkiem *(feston)*. A to wszystko nie bez logicznéj zasady na ścianach się popięło, lub też usiadło na głowicach karjatydami podpartych; ale pilastry, te uwięzłe w ścianach słupy czworogranne, podzieliły każdą z nich na trzy pola, związawszy się obłękami wnęków i framug, gdzie stanęły posągi, — a z medalionów, niby na świadki, wyjrzały świętych postacie.

A jakaż w tém wszystkiém harmonja! Oto patrz na boczną prawą ścianę, gdzie po fryzie biegnie napis: *Beati qui in Domino moriuntur*. Spoczęli snać w Bogu Zygmuntowie, bo w niszy w owéj ścianie zagłębionéj, w dwóch wnękach (środkiem wysokości arkadą przedzielonych) tak im błogo na trumnach spoczywać. Zygmunt August niżéj, Zygmunt Stary powyżéj, w zbrojach, na ramionach podparci, położyli się niby chwilowym spoczynkiem, na dumkę o téj przyszłości, co się marzy w śnie ich spokojnym. Zygmunt Stary śni boje — bo armatury i skrzyżowane bronie otoczywszy tarczę z orłem, wysuwają się z głębi z poza postaci jego. Zygmunt August późniéj legł w grobie — to téż już daléj zajrzał w odległą przyszłość; bo Najświętsza Marja Panna z dzieciątkiem Jezus wystawiona nad nim w medalionie, zdaje się nawodzić na myśli owe czasy, kiedy już nie szablom naszym, ale saméj Bogarodzicy przyszło bronić Polski, wspierając walczących w częstochowskiéj twierdzy.

Na podnóżach słupów podpierających obłęk niszy pomnikowéj, wyrzeźbiono tarcze z orłami Polski, Pogonią Litwy i Wężem królowéj Bony. Po obu stronach na bocznych polach całéj ściany, zagłębiły się

[1]) Dwie tylko nisze bez okien, od strony wnętrza kościoła.

pięknie strojne wnęki, a w nich stanęły posągi: po prawéj śgo rycerza (?), po lewéj ś. Florjana. Nad arkadami nisz wystąpiły medaliony, wystawiące po prawéj ś. Marka, a ś. Mateusza po lewéj. Nad tém wszystkiém, powyżéj obłęku co jako tęcza objął łukiem i królów i świętych, unosi się już prawie w podniebiu kopuły, orzeł państwa i pogoń litewska. Między drobnemi ozdobami obłęku otaczającego niszę, w któréj jest pomnik obu królów, widny na tarczy wśród armatur mały medalion Zygmunta Starego.

Też same zarysy środkowéj i drugiéj bocznéj ściany. Inna przecież treść głównych przedmiotów; a więc jako karty dziejów co innego każda z nich nam opowie. I tak, w pośrodku ściany środkowéj, gdzie fryz opisuje wiersz: *Deus iudicium Tuum regi da*, widać tron (jak wszystkie tu pomniki, posągi i medaliony) z czerwonego tatrzańskiego marmuru wzniesiony. Nad środkową jego stallą anieli unoszą koronę — przodowe oparcie a zarazem podstawę stanowi wysunięta naprzód wielka płyta, gdzie w wypukło-rzeźbie wystawiona leżąca prawie postać Anny Jagiellonki. Ostatnia ta Pólitewskiego rodu matrona, co królowała wolsce z Batorym, a zamkła cyklus dziejosiy świętobliwą Jadwigą poczęty, osłoniła kę wdowią szatą i z takim religijnym spocojem śpi tu na grobowcu, że czytasz z jéj zoła: iż opuszczając ten tron, u którego podnóża zapisać o niéj przyszło: *Jagiellonorum ultima propago*, wie, że to schnące drzewo już tylko kilku konarami się po niéj zazieleni, a potém, jako i tym co tu w trumnach zasnęli, spoczywać mu przyjdzie niby dębowi, co już zdala nie nęci zieloną koroną, ale tylko jego żałobne uschłe gałęzie, nagie wyciągają ramiona.

Jak na ścianie poprzednio opisanéj, tak i tu w bocznych polach, w niszach posągi: po prawéj ś. Zygmunta (zapewne), po lewéj ś. Jana Chrzciciela — nad temi medaliony, po prawéj: Zygmunta Starego ze zwojem historji w ręku, po lewéj króla psalmisty z lutnią. W tym ostatnim wizerunku wystawił rzeźbiarz ową pewno myśl, że pod te czasy pierwszy raz zabrzmiały w Polsce pokutne psalmy Dawida, przestrojone w polski rym pieśniami Kochanowskiego a nutą Mikołaja Gomołki. Ną podniebiu kopuły i na téj znów stronie unosi się Orzeł z Pogonią.

W niszy ściany trzeciéj, wschodniéj, stoi szafiasty ołtarz, a nad nim po fryzie biegnie napis poczęty na ścianie, gdzie arkada wejścia: *Confiteantur Tibi Domine omnes gentes, qui das salutem regibus.*

Ołtarz gdy jest otwarty, ma wysokości od spodu prostokątnego do końca promienia górnego łuku, 8 stóp — a prawie 6 stóp wiedeńskich szeroki. Całe jego wnętrze z srebra czystego ulane. Podają że wartość kruszcu w roku 1680 złotnicy Jan Knyper i Ceypler ocenili na 300,000 ówczesnych złotych; słusznie jednak spostrzega X. biskup Łętowski (w dziele *Katedra na Wawelu*), że tutaj dwa zera przez pomyłkę dodano, bo po ich dopiero odcięciu zgadza się otaksowanie z dwoma późniejszemi z lat 1806 i 1831. W części środkowéj wewnątrz dzieli się ołtarz na 4 pola, gdzie rzeźbiarską robotą, oddał Wojciech Glimm mistrz norymberski: Narodzenie Pańskie, przybycie Trzech Królów, Oczyszczenie i Zaśnięcie N. M. Panny. Na boczném skrzydle od strony ewangelji, takież w 4 polach odlewy, wystawiające: Obrzezanie, Historję Zacharyasza i Elżbiety, nadto ś. Annę i śgo Stanisława. Z strony epistoły: Zwiastowanie, Spotkanie się z ś. Elżbietą, Wejście do kościoła jerozolimskiego i ś. Wojciech. Zewnątrz 14 obrazów na drzewie wybornie szkołą florencką malowanych — na tych sceny z Męki Pańskiéj.

Na srebrnéj podstawie ołtarza napis poświadczający, iż roku 1538 Zygmunt I na cześć N. M. Panny i śgo Zygmunta ołtarz ten sprawił.

Odchyliwszy blachę z napisem, w postumencie jest nisza, w któréj 6 razy orła zygmuntowskiego wypukło z srebra wykuto. Po bokach tego wgłębienia na zewnątrz, są srebrne medaliony obu Zygmuntów. Ponad ołtarzem późniejsze czasy zamieściły wypełnienie arkady drzeworzeźbą, na któréj anieli unoszą wizerunek twarzy Chrystusowéj. W niszach bocznych posągi: śś. Piotra i Pawła — ponad medalionami ś. Jana i ś. Łukasza znowu Orzeł i Pogoń się unoszą.

Oceniając artystyczną wartość scen ołtarza w odlewie przedstawionych, trudno stawiać je na równi z malowaniem na skrzy-

dłach lub z ornamentem kaplicy całéj. Mieszanina metalu, jak złocenia szat postaci odlanych ze srebra, nie smaczne czyni wrażenie. Zaśnięcie N. M. Panny umieszczone w górném półkolu, jakże niższe od téj saméj sceny wystawionéj w ołtarzu Stwosza! Tutaj Apostołowie obecni chwili skonu Bogarodzicy, zasiedli do rozczytywania się w księgach, prawie zupełnie tak jak na tejże treści obrazie Schaffnera, kiedy u Stwosza pełni zachwytu, niebo czują w izbie. Święty Piotr w papiezkiéj tiarze urzędowo na akt cały spogląda. Chociaż Glim tworzył postacie swoje pod wpływem renesansu i zapewne z przeznaczeniem do kaplicy, którą ten styl tak wdzięcznie ozdobił, przecież odrodzenie nie zgłuszyło w nim jeszcze tradycji staroniemieckiéj szkoły. Widoczne, że ciężki Niemiec usiłował dostrajać się w harmonją z przesiąkłemi klasycyzmem Włochami, co to zygmuntowskie oratorium w śliczne ornamenta ubrali.

Ściana od kościoła balustradą oddzielona, piękną arkadą różami w swojém podniebiu strojną, otwiera wejście do katedry saméj.

Pan Filip Pokutyński professor budownictwa w szkole technicznéj krakowskiéj, wykonał z uczniami (dla ich nauki) w architektonicznych przekrojach ściany téj zygmuntowskiéj kaplicy. Strobant w dwóch chromolitografjach przedstawił tę kaplicę, które objaśniają tekst napisany o niéj w dziele X. biskupa Łętowskiego *Katedra na Wawelu*. Rzeźbiarz krakowski p. Paris Filipi odlewał ztąd wiele ornamentów dla p. Bolesława Podczaszyńskiego, a brat mój Ludwik zrobił dla redakcji *Wzorów sztuki średniowiecznéj* wielką akwarellę otwartego ołtarza.

Różnie kaplicę tę zowią. Opis Krakowa z 1603 r. mianuje ją *Wniebowzięcia N. M. Panny* lub *Królewską*. Inne *rorate*, od śpiewanéj tam Mszy śtéj, albo oratorium *Rorantystów*. X. biskup Łętowski nazywa ją *Jagiellońską*, zaś Grabowski, Mączyński i Przezdziecki *Zygmuntowską*.

Przejdźmy do podania wiadomości o budowie i uposażeniu kaplicy.

Z dat, które nam zostały w napisach zewnątrz i wewnątrz kaplicy i z innych źródeł, twierdzić można: iż Zygmunt Stary po śmierci pierwszéj i ukochanéj żony swojéj Barbary Zapolskiéj († 1515) wziął się do stawiania kaplicy na grób dla niéj i na swoje popioły. W r. 1520 zapisanym na zewnętrznym fryzie i przytoczonym w epigrafie dedykacyjnym, skończono mury; wtedy zapewne architekt i sztukator Bartłomiéj Florentczyk (który imie swoje w latarni kopuły zapisał) wziął się do wykładania kaplicy rzeźbą i ornamentami. Prowadził daléj fabrykę sam Zygmunt i następca jego Zygmunt August. Królowa wreszcie Anna (jak to widać z epigrafu grobowca Zygmunta Augusta) budowę kaplicy skończyła, stawiając w niéj pomniki obu Zygmuntom i sobie. Zupełnie tedy stanęła ta kaplica dopiero na lat kilka przed śmiercią królowéj Anny († 1596); przecież plan jéj budowy należy do początku XVI stólecia — a zatém jako zabytek owych czasów uważana być winna.

Co do uposażenia, to wystarczyłoby dla jakiego probostwa całego i bogatém opatrzeniem zwaćby je można. Przed zmurowaniem téj kaplicy była tu inna w r. 1340 przez Kazimierza Wgo *(rudiori et simplici opere erecta)* zbudowana i funduszami opatrzona. Pozostały tedy owe kazimierzowskie zapisy przy nowéj budowli, pomnożone ustanowieniem *collegium Rorantistarum* złożonego z proboszcza, 9 prebendarzy, śpiewaków i kleryka. Na tych włożył Zygmunt Stary obowiązek odprawiania i śpiewania codzień mszy św. *rorate*, co poborem 16 grzywien z żup wielickich i dziesięcinami ze starostwa sochaczewskiego uposażył.

Msza ta dotąd odprawia się z towarzyszeniem śpiewaków codziennie przed godziną 9 rano, z dodaniem anniwersarza za dusze Jagiellonów, na co był Zygmunt August r. 1541 dał dziesięciny z Pabianic. Daléj Anna Jagiellonka przenosi tutaj dwie altarje i dziesięciny z Łobzowa, oraz daje na własność collegium Rorantystów wsie: Swoszowice, Mękarzów i Koryto, co Piotr Myszkowski biskup krakowski zatwierdził.[1])

[1]) Przywileje w ciągu tego pisma cytowane, dostały się w posiadanie X. S. Grzybowskiego kan. kat. krakowskiego, który je archiwum katedralnemu powrócił. Treść ich, oraz napisy wszelkie znajdujące się na ścianach i pomnikach zygmuntowskiéj kaplicy, podaliśmy w *Tece wileńskiéj* (Wilno 1858 Nr. 4).

Kaplica stała się ulubionym przedmiotem starań i opieki królowéj Anny — sprawiała tu bogate aparaty, lub je własną wykonywała pracą, o czém świadczą istniejące jeszcze: obrus z orzy i złota w sposobie sieci zrobiony i antepedium pracowicie w figury i wzory wyszyte. Spis tego czém to oratorium hojność królewska opatrzyła, patrz w *Katedrze na Wawelu* X. biskupa Łętowskiego (str. 91). Z tego co zostało, godny wzmianki prześliczny złoty relikwjarz na kość z palca Ś. Zygmunta, ofiarowany do kaplicy w r. 1518 przez Zygmunta Starego i Bonę, a dziś w skarbcu katedry przechowany. Chromolitografią i opis tego zabytku dali wydawcy *Wzorów sztuki średniowiecznéj* w Serji I. Trudno téż pominąć pięknych lichtarzów z roku 1536, pochodzących z daru Zygmunta Starego, a dotąd dotrwałych. Wreszcie wiele oryginalnych listów królowéj Anny do proboszcza kaplicy pisanych, w archiwum zostało. Niektóre z nich wydał Ambroży Grabowski w swoich cennych dziełach.



Groby Zygmuntów.

Leon X. papież szczególniejszy odpust nadał modlącym się w zygmuntowskiéj kaplicy.

Zejdźmy teraz do podziemnego sklepu przypatrzyć się trumnom ostatnich Jagiellonów, odsyłając pragnących obejrzeć bogate ich rzeźby i ozdoby, do illustrowanego rysunkami dzieła: *Monumenta regum Poloniae cracoviensia.* Publikacja ta wyszła poraz pierwszy w Warszawie w r. 1822, ryciny Stachowicza i Dietricha. Powtórnie wydał to dzieło Wolf w Petersburgu r. 1852. Stachowicz nie mógł w swoim czasie wyjązać się lepiéj z zadania; dziś jednak wartoby zająć się wydaniem nowych przerysów rzeźb i ozdób będących na trumnach królewskich. A. Grabowski w książce *Groby królów polskich* w r. 1835 wydanéj, podał epigrafy, jakie się na sarkofagach i w sklepach na wiekach trumien znalazły.

W grobie pod kaplicą zygmuntowską stoi na środku z piaskowca ciosany sarkofag, mieszczący w sobie ciało Zygmunta Starego i trumienkę cynową ze zwłokami Wojciecha syna Zygmunta i Bony który zmarł niemowlęciem [1]). Zygmunt August leży w pięknéj rzeźbionéj (a raczéj odlewanéj) cynowéj trumnie. Wśród wielu ozdób, które pozwalają zaliczyć ten zabytek do nader pięknych utworów, zwracają głównie uwagę postacie allegoryczne wystawiające pięć zamarłych zmysłów. Na trumnie Anny Jagiellonki, także cynowéj, wystawiono w odlewach: wiarę, nadzieję, miłość, sprawiedliwość, mądrość, męztwo, herby państwa i krzyż Chrystusów. Tu wreszcie w skromnéj cynowéj trumnie, leżą zwłoki Barbary Zapolskiéj, a Zygmunt III zamieścił obok niéj i jéj niedorosłą córeczkę, kiedy po zniszczeniu się dawnéj, tę nową trumnę sprawiał.

[1]) Trumny te otwierał w r. 1791 Czacki. Opis szczegółów które tam znalazł, patrz w listach jego ogłoszonych przez A. Grabowskiego przy 2giém wydaniu *Opisu Krakowa;* chromolitografje zaś wielu z tych przedmiotów, dziś prywatną własnością będących, znajdziesz we *Wzorach sztuki średniowiecznéj.*

Kiedy nam przychodzi wyszedłszy z grobu Jagiellonów, porzucić Zygmuntów kaplicę, spojrzawszy raz jeszcze na jéj skończenie piękną całość, to nie możemy pominąć uwagi: iż fundusze stanowiące bogate uposażenie tego oratorium, zostają bądź w procesie ich windykacji, bądź ze szczętem przepadły. To co teraz zawiadowca kaplicy na nabożeństwo odbiera, jest nadzwyczaj szczupłym dochodem i jedynym. Zaś wiązanie dachowe spruchniało, a gdy puściły śrubki któremi złocone miedziane łuski były doń przytwierdzone, więc dziś woda zacieka na kopułę, sprowadzając wilgoć do sklepu, w którym Jagiellonów spoczywają prochy. Ornamenta opadają, krusząc się z zawilgnienia, a ściana wschodnia najwięcéj pod tym względem ucierpiała.

Artystyczna wartość tego oratorium i zdobiących je pomników, jest niewątpliwą — więc zbyteczném byłoby dowodzić: że jako zabytek sztuki zasługuje na poszanowanie. Tę znakomitość zygmuntowskiéj kaplicy przyznają wszyscy co o niéj pisali, począwszy od Krzyckiego i Decjusza, a skończywszy na księdzu biskupie Łętowskim i Essenweinie architekcie wiedeńskim. Ten ostatni uważa naszą kaplicę za najpiękniejszy utwór renesansu między budowlami które z téj strony Alp w stylu odrodzenia wzniesione. *(Organ für christl Kunst*, Köln. VIII N. 1).

Dla nas prócz zalet sztuki przybywa jeszcze waga pamiątki — a zarazem obowiązek starania się o zabezpieczenie od upadku tego, co chlubnie o naszéj świadczy przeszłości. Tak téż zrozumiano potrzebę przedsięwzięcia zachowawczéj odnowy zygmuntowskiéj kaplicy i grobu Jagiellonów, jakskoro bez odezw i przypomnień złożono już do kassy Towarzystwa naukowego krakowskiego (po dzień 6 listopada 1862 r.) prawie 100 FWA na ten cel, które za dobry początek datków uważać się godzi.

*Józef Łepkowski.*

---

# O ZGODZIE EKONOMJI POLITYCZNÉJ Z RELIGJĄ.

(SPRAWOZDANIE.)

---

Pogodzić wyobrażenia religijne z wyobrażeniem postępu cywilizacji, wykazać że dążność ku dobrobytowi materjalnemu wszystkich, idzie pospołu z ewangeliczném miłosierdziem do podniesienia i uzacnienia człowieka, jest zadaniem naszych czasów. Tu i owdzie przedsięwzięto sumienne prace w tym kierunku, poważne i uczone głosy zwracają, na konieczną tę jedność, uwagę społeczeństwa, które częściowo porwane wymownemi słowy talentu, budzącemi nieprzeparte poczucie prawdy, jakie tkwi w piersi każdego, zachowuje jednak pojedyncze jednostki trwożliwe lub stronne, nie chcące uporczywie dojrzeć myśli Bożéj w tym świecie zewnętrznym, idącym powolnym lecz wytrwałym krokiem ku lepszemu wśród wstrząśnień, bolów i zamętów. „Dla takich umysłów (mówi pan de Lavergne w pełnéj znaczenia rozprawie swojéj, z któréj dziś umyśliłam zdać sprawę) zachodzi zupełne przeciwieństwo między religją, a ekonomją polityczną. Tę wrzekomą niemożliwość ich połączenia, objawiają często obie strony. Domyślna raczéj w pismach niektórych ekonomistów, zdających się ograniczać lub całkiem zapierać duchowe potrzeby ludzkości, wybucha z całą gwałtownością u tych, co to się mają za najpobożniejszych i z wysokości swych spirytualnych porywów, nie raczą dostrzegać materjalnych potrzeb człowieka. Jednakże i ci i tamci błądzą, bo tak dobrze dusza nie ma prawa niszczyć ciała, jak i ciału niegodzi się upodlać duszy. Obie natury człowieka są tu na ziemi nierozerwanym węzłem złączone i przypuszczając że to co jednéj służy jest bezwarunkowo drugiéj szkodliwe, zdajemy się obwiniać Stwórcę że raczéj zamęt niż przedziwną harmonję w rzeczach stworzonych zaprowadził. Chrystjanizm wypowiadał po wszystkie czasy wojnę

zachceniom wyuzdanym, które ciało i duszę zarówno niszczą, najwyższy cel naszych dążeń po za krańcami tego życia umieścił, ale nie odepchnął umiarkowanego użycia dóbr ziemskich, potrzebnych dla zapewnienia ciału siły, a duszy swobody. Cóż będzie znaczył ten piękny wyraz: cywilizacja, utworzony przez człowieka dopiero po wiekach jaśnienia chrześcijańskiego światła, jeżeli nie połączenie wszystkich potęg duszy, umysłu i ciała, w jedno harmonijne ku wyższemu rozwinięciu dążenie?..

Tego uczą fakta, lecz ludzie stawiają przeciw nim zdania fałszywie tłomaczone, a więc zamęt w wyobrażeniach rodzące.— Ekonomja polityczna (mówią), sama się zwie nauką bogactw, któż zaś nie wié, że zbytnie tychże poszukiwanie, jest wyraźnie przez Ewanielją zabronione? Słuchajcie tych boskich słów: *Nie można służyć Bogu i Mamonie* i tych innych bardziéj jeszcze znaczących: *Łatwiej linie okrętowéj przejść przez ucho igielne, niżeli bogaczowi do królestwa niebieskiego.* Nieporozumienie sprawia tu wyraz *bogactwo*, a jednak ekonomja polityczna określa jasno co przez niego rozumie; idzie jéj o przedmioty służące do zaspokojenia pierwszych potrzeb człowieka, jakoto: pokarmy, odzież, domostwa, które innego źródła, jak pracę i oszczędność mieć nie mogą. Czyż do tak pojętego bogactwa potępienie Boże się odnosi? W takim razie trzebaby dać zmarnieć rodzajowi ludzkiemu wśród głodu i niedostatku... Lecz nie, Mamona nie jest godłem dobrobytu i uciech prawych, jest to raczéj szatan źle nabytych bogactw i wyuzdanych roskoszy. A zatém i ekonomja polityczna Mamonę odpycha jako zamożności niszczyciela; nie gwałci więc ewanielicznéj zasady, ale i owszem nowe daje jéj zastósowanie. Bogacz co będzie miał taką trudność wejścia do królestwa niebieskiego, to zły bogacz, który źle używa nikczemnie nabytych skarbów. Ekonomja polityczna ubiega się za ogólną, zbiorową zamożnością, rozdzieloną, o ile jest podobna, najrówniéj pomiędzy wszystkich członków społeczeństwa, a nie żąda bynajmniéj owego nadzwyczajnego bogactwa niektórych, będącego nieraz owocem podstępu, lub nadużycia, za którém wielka nędza licznych jednostek w ślad idzie. Ten tylko kto uporczywie zechce zostać niesprawiedliwym, pomiesza to co potępia ekonomja polityczna, jakoto zbytek i chciwość będące występkami, z przymiotami oszczędności i pracy do których ona nakłania. Gdyby jéj przepisy były więcéj słuchane, nie widzielibyśmy tych olbrzymich fortun pojedynczych, wyrastających z mónopolu i spekulacji giełdowych, podczas kiedy robotnik odbiera zaledwie dostateczną do nędznego utrzymania zapłatę, nie patrzalibyśmy na wyuzdane i nieużyteczne zbytki, kiedy z drugiéj strony brakuje kapitału na przedsięwzięcia mające dobro powszechne na celu. Czuje to dobrze zły bogacz, że jeżeli mu religja grozi potępieniem w przyszłém życiu, ekonomja polityczna już na tym świecie źródło jego bogactwa potępia.

Są jeszcze inne punkta dające powód do dwójznaczności z których korzystają deklamatorowie. Ponieważ ekonomja polityczna ma za główny cel zaspokojenie potrzeb materjalnych, wmawiają w nią, że nie przypuszcza innych potrzeb w człowieku. A przecież każda nauka potrzebuje się zamknąć w przedmiocie do niéj należącym, żeby go zbadać lepiéj; nie idzie zatém żeby miała odpychać wszystko co po za jéj zakresem istnieje. Ekonomja polityczna nie utrzymuje bynajmniéj że ludzkość nié ma innnych, wyższych potrzeb nad bogactwo; owszem uznaje je i potwierdza, kiedy jéj o nie potrącić przychodzi. *Szukajcie przedewszystkiém Boga i sprawiedliwości, reszta wam będzie dana w dodatku.* Oto jest prawdziwa zasada. Naprzód Bóg i sprawiedliwość, a w dodatku starania o utrzymanie życia które należą do dziedziny ekonomji politycznéj; człowiek powinien myśleć o wieczności, nie idzie zatém żeby w chwili doczesnéj nie miał jeść i ubierać się.

Wiem dobrze że niektóre ustępy pisma Ś^go^ zdają się zalecać zupełne wyrzeczenie, ależ one powiedziane były do pogańskiego społeczeństwa. *Kto się nie wyrzecze wszystkiego nie jest godzien być moim uczniem. — Nie troszczcie się co będziecie jedli, co będziecie pili i w co się odziewać będziecie. Te zabiegi tylko poganom przystoją.* W istocie żeby pójść za nowém prawem, trzeba było się wyrzec wszystkiego w świe-

cie pogańskim, lecz chcieć te zasady dosłownie do społeczeństwa chrześcijańskiego zastósować, jest to kazać mu się wyrzec prawa własności. I jakże to pogodzić z tém pierwszém prawem: *Będziesz pożywał chleb twój w pocie czoła*, lub z temi słowami wyrzeczonemi do dzieci Adama: *Rozmnażajcie się, napełniajcie ziemię i uczyńcie ją sobie podległą*..... Możnaż wątpić że zdobywając nauką i pracą świat materjalny wypełniamy wyższe od naszych osobistych zamiary? Na cóż człowiek miałby potrzeby, jeżeli nie na to aby je zaspokoić? na cóżby napotykał przeszkody w siłach natury, jeżeli nie na to aby je zwyciężyć? A ta pomoc, którą w tychże samych siłach dla siebie znajduje, czyż to nie dla tego, aby ją umiejętnie zastosował?..... A więc powinniśmy ciągle oddalać nędzę i choroby, które nas skazują na bezczynność — powinniśmy unikać lenistwa, téj dobrowolnéj choroby, która psuje ogólny porządek. Każde pokolenie winno przygotowywać dla następnych, nowe do postępu środki, nieść w najodleglejsze i opuszczone na pozór zakątki ziemi nowe życia czynniki. Tak Bóg chce i tak przykazał. Religja zatém nic nie może mieć przeciwko podobnym dążnościom, skoro one pozostają w granicach prawości. Nic téż bardziéj do Boga nie zbliża jak uczciwa praca. Wielkie bogactwa i wielka nędza są oboje złemi doradcami człowieka. Lecz gdy jego potrzeby materjalne są dostatnio zaopatrzone, wtedy umysł roztęskniony goni za wyższemi i uczucie nieśmiertelności najdobitniejsze jest tam, gdzie ciało zaspokojone milczy.“

Tu pan de Lavergne przytacza dzieła znakomitych ekonomistów, którzy opierali swe twierdzenia na najczystszéj moralności jakiéj religja naucza, dowodząc, że nié ma korzystnego stowarzyszenia bez podstawy chrześcijańskich zasad, na których zawsze najpomyślniéj rozwija się bogactwo narodowe. Oddaje także hołd pisarzom katolickim, którzy, do téj pracy koniecznego dla szczęścia ludzkości związku, rękę podali. Ksiądz Gratry napisał: *Powiadają że ekonomja polityczna jest klęską, a ja twierdzę że jest zbawieniem społeczeństwa.* Niedawno profesor uniwersytetu belgijskiego w Louvain który jest wyłącznie pod kierunkiem katolickiego duchowieństwa, pan Karol Périn napisał dzieło: *O bogactwie w społeczności chrześcijańskiéj*, w którém od tego jednoczenia religji z ekonomją polityczną nie odstępuje i dowodzi, jak zasady religijne są silnym hamulcem na namiętności mogące szkodzić nawet materjalnym przedsiebierstwom. I słusznie — jakieżby błogie owoce przynieść mogły stowarzyszenia, w którychby osobistą chęć zysku tłumiło pragnienie ogólnego dobra, w którychby panowała cześć dla sprawiedliwości, miłość bliźniego i te wszystkie piękne uczucia, jakie religja poleca: *Kochaj bliźniego, jak siebie samego dla miłości Boga*, oto jest podstawa wszelakiéj pomyślności społeczeństwa. Ona prowadzi do wyrzeczenia się osobistych korzyści dla dobra ogółu, ona idealizuje niejako pożyteczność, która wtedy przestaje być samolubném wyrachowaniem, a staje się godłem miłosierdzia, braterstwa i solidarności, „jest (jak dobrze powiada p. de Lavergne) węzłem łączącym ludzi i narody, niby cementem ludzkości. Tutaj ekonomja polityczna pokazuje, że się urodziła z chrystjanizmu i że nie wydałby jéj świat starożytny.“

Trudno mi téż przemilczeć, jako zbyt z mojém zgodne zdanie przytoczonego wyżéj autora.

„Trzeba pamiętać aby cudowne poświęcenie jakie jaśnieje zawsze w miłosierdziu, było oświecone i nie należy dawać jałmużny nie zważając czy bierze godny lub niegodny, jedynie dla osobistego zalecenia się Bogu, dla uświęcenia siebie samego. Wtedy bowiem stawialibyśmy za ideał miłosierdzia, uczynienie go bezużyteczném a nawet szkodliwém!“ W istocie godziż się zachęcać bezczelność próżniaka, który znalazł że mu wygodnie żyć cudzym kosztem i skutkiem tego okraść nieszczęsnego, któremu częstokroć choroba lub grom losu narzędzie pracy z ręku wytrącił, a któremu społeczność winna jest pomoc przeciw nędzy mogącéj go wtrącić w przepaść rozpaczy lub zepsucia. Piękne stowarzyszenie Ś. Wincentego a Paulo w myśl tych zasad postępuje; nie obdarza żebraków, lecz wyszukuje prawdziwie potrzebnych. Jednak wiele jeszcze do zrobienia pozostaje. Iluż tu u nas jeszcze różnego wieku i płci przedsiębierców, otrzy-

mujących wcale dostatnie utrzymanie *gratis* jedynie za to tylko że piszczą i jęczą po ulicach, obiecując przechodniom że im wymodlą to długie życie, to pomyślność w przedsięwzięciach i t. p. W tym względzie wartoby doprawdy baczniéj posłuchać rad ekonomji politycznéj.

„Dobiega już dwa tysiące lat (kończy p. de Lavergne) jak gwiazda chrześcijaństwa zabłysła światu. Dużo się zapewne dokonało wśród tego długiego szeregu wieków, jednakże nie zaginął zupełnie duch pogaństwa; walczy on jeszcze przeciw obietnicom ewanielji pod różnemi postaciami, a nawet przybiera czasem płaszczyk religji. Z drugiéj strony duch chrześcijaństwa przeobraża się, wychyla się z przybytków poświęcanych, a stając między nami wciela się w życie. On jest tam wszędzie, gdzie jest miłość ludzkości, nawet w téj dzisiejszéj dążności ku zbogaceniu, mającemu dać wszystkim godność i swobodę. Jest to charakterystyczną cechą naszéj epoki, że podczas kiedy przekonania religijne uszlachetniają dążności do dobrobytu, postęp materjalny oddziaływa skutecznie na moralny porządek. W taki sposób podobało się objawiać Opatrzności. Nie wypierajmy się jéj!

Kiedy czyniono próby połączenia dwóch światów telegraficzną linją, pierwszą depeszą jaką powierzono złożonemu w głąb oceanu drutowi, były słowa: *Chwała Bogu na wysokościach Niebios, a na ziemi pokój ludziom dobréj woli!..* Pod olbrzymiém sklepieniem, które się piętrzyło w Londynie nad dziełami przemysłu, wszędzie można było czytać pobożne napisy świadczące, że człowiek przyłożył tylko rękę do dzieła Stwórcy. Czego nie mogły dokonać wieki bronią rycerzy, wymową namaszczonych, to dziś robi przemysł przed naszemi oczyma. Przez niego upadają ostatnie zapory, dusze wyswabadzają się na równi z ciałami, ubóstwo i nieświadomość uciekają [1]), równość nastepuje. Przemysłem zwycięża się najzaciętsze barbarzyństwo, zaludniają się pustynie, rozszerza wiara, świat dziki uczy się używać darów Opatrzności i błogosławić Jéj imię. Ludzie małéj wiary, którzy dopatrujecie tam śmierć gdzie jest życie, uczcijcie rękę Wszechmocną na widok tych cichych podbojów, które przygotowują panowanie zasad ewangelicznych i powtórzcie tryumfalny okrzyk chrześcijan: *Christus vincit*, *Christus regnat*, *Christus imperat.*“

Nie mam zamiaru rozszerzać się bardzo nad pracą francuzkiego autora, pragnęłam tylko potrącić w tym przedmiocie myśli moich czytelników. Nad tém obecnie nigdy dosyć długo zastanawiać się nie można, zwłaszcza, że i wśród nas pełno głosów miota wyrazy potępienia na wszelkie postępowe usiłowania ludzkości — maluje świat i jego prace w ciężkich bólach poczęte, jego wynalazki i naukowe zdobycze, jako zamęt straszliwy, w którym duch złego swobodnie wiruje. [1]) Tak to szumowiny wzięte za treść samą, boć złe jest, jako nieodłączna od natury ludzkiéj ułomność, dla oka widoczna niby piana na powierzchni wód, lecz pod nią przeciąga przez wieki, z niepokalanego, Boskiego źródła wytrysła, wielka myśl przewodnia ludzkości, wiążąca prace pokoleń w jeden łańcuch nieprzerwany. Świat — to obszerna widownia po któréj Wszechmocna ręka ludzkość prowadzi; kroki jéj niepewne i nierówne, czasem opieszałe, czasem znów miotające się wściekle, lecz statecznie do jednego zdążają celu. Tam więc dla pojedynczych osobników pole walki i trudów, łez i tryumfów, upadku lub duchowego podniesienia. To zagon, na którym każdy pracownik *Pański* ma swoją wyznaczoną robotę. Odbiega od niéj tylko tchórz lub samolub, prawdziwy chrześcijanin pozostaje na stanowisku, walczy z nikczemném, łagodzi zdraźnione, popiera szlachetne, kojarzy na pozór z sobą przeciwne, słowem służy prawdzie i światłu,

[1]) Zapał uniósł tu autora w przesadę, bo niestety! ubóstwo i nieświadomość nie bardzo jeszcze znikają. *J. S.*

[1]) Jest rzeczą uderzającą, że ludzie najbardziéj piorunujący na świat kiedy mowa o usiłowaniach, o pomysłach nowych, lub nadzwyczajnych wynalazkach, niewolniczo mu są poddani we wszystkich nikczemnostkach drobnych, wynikłych ze starcia różnorodnych namiętności. Zamknięci w ciasnych ramach koteryjnych wyobrażeń, zawsze będą gotowi słuchać *konferencji* traktujących o ewanielicznem braterstwie, ale najpierwsi pychą swoją przeszkadzać będą wprowadzeniu go w życie. Uśmiechną się wzgardliwie na głos apostołów prawdy, a pójdą niewolniczo za głosem mody i próżności. *J. S.*

a więc Bogu. Nie rozłączajmy przeto dwóch potęg społecznych, które są przedstawicielami dwóch czynników naszego własnego organizmu — religji i ekonomji politycznéj; niech posiłkując się nawzajem, wypleniają z podwojoną siłą z łona ludzkości, występek i nędzę.

*J. Śmigielska.*

---

# KORRESPONDENCJA

(SPÓŹNIONA.)

Paryż 16 Listopada 1862 r.

Wspomnienie wystawy londyńskiéj — Wzmianka o Anglji — Gościnność angielska — Człowiek zachwycony Turcją — Czego dowiedzieć się można z lekcji śpiewu w Paryżu — Blaga francuzka — Wyobrażenia ludu — Stowarzyszenie dobroczynne w celu opłaty komornego dla ubogich — *Les Ganaches* Wiktora Sardou — Lalka śpiewająca.

Zwykle tego niecenim co u siebie mamy; taka niestety, ludzka jest natura. Gdybym od Anglji przedzielona była jaką mil setką, niezawodnie z większym zapałem byłabym podążała ku mglistym Albionu brzegom — i choć zupełnie na przemyśle i mechanice się nieznam, gorąco byłabym pragnęła zwiedzić wystawę tegoroczną londyńską. Ale mając z Paryża kilkanaście tylko godzin do Londynu, siedziałam sobie spokojnie oddychając wonią jesiennych kwiatów naszego ogrodu i nietroszcząc się wcale o przemysł, wynalazki i t. p. drobnostki. Aż tu moja ukochana pani *** spada nam jak świetny meteor, z odwiedzinami. Co tu porabiasz, zkąd przybywasz, pytam ochłonąwszy z podziwu. — Przybywam wprost z wystawy londyńskiéj, odpowiada mi wesoło — a ja dopiero w żale i utyskiwania, że niewzięła mię ze sobą.

— Ja tam byłam, powiada mi p. K. niech ci się więc zdaje żeś mi towarzyszyła w podróży. Chcesz wiedzieć jak wygląda wielki pałac wystawy londyńskiéj? Nie tak jest piękny jak dawny kryształowy pałac w Sydenham — a czy duży? to ci mówię że codzień 80 tysięcy widzów mieściło się w nim wygodnie.“ Kręcę głową i niewierzę, *niewierzę aż zobaczę;* zobaczyć zaś zapóźno, bo już po wystawie. Powiedz mi przynajmniéj coś tam najciekawszego widziała? pytam. „Najciekawsze jak dla mnie, są dwie rzeczy które nabyłam, doskonały filtr, który nawet wodę z kałuży w czystą przemienia i te osełki, a raczéj te maszynki stalowe które tak wybornie ostrzą tępe noże, mniejsza zaś zaostrza nożyczki i scyzoroki. Oba te sprawunki gospodarskie kosztują mię po parę złp., cena mała choć dogodność wielka.“

— „I cóż jeszcze?“

— „Jeszcze? a! kto zliczy, kto spisze lub opowie; odsyłam cię do katalogów, a sama dodam tylko: że mi się niezmiernie podobał posąg rozpaczy, *la Desolatione*, w postaci kobiety boleścią złamanéj. Posąg ten jest dziełem jakiegoś Włocha. Wszyscy wiecie, że pod każdym względem, Anglja trzyma pierwszeństwo przed innemi narodami, w przemyśle jak w żegludze, w potędze równie jak w handlu. Co zaś do dzieł sztuki, na londyńskiéj tegorocznéj wystawie, podług mnie królował Rzym. Kiedym się nasłuchała turkotu, pisku, zgrzytu sta tysięcy machin, między któremi znajdował się i skromny pług polski, przez naszego ziomka pana Romana Cichowskiego udoskonalony, za co p. Cichowski otrzymał medal; kiedym się napatrzyła tysiąca cudnych przedmiotów, 5go dnia moich na wystawie odwiedzin, oczy me spostrzegły napis: *Roma.* Co tam być może, pomyślałam zdziwiona, z tego biednego Rzymu, co też przysłać zdołali. Wchodzę; natłok ogromny — policja więc stoi dla porządku. Spoglądam, pełno Anglików stojących w zadumie i zachwyceniu przed arcydziełami sztuki. Mozajka i obrazy, wszystkie prawie treści religijnéj, zapełniły tę błogą oazis. Przy wejściu postać Piusa IX naturalnéj wielkości, a wewnątrz, duch Romy — myśl

wyższa, szczytność i świętość, w sztuce objawione, sztuka podniesiona do ideału. Kiedy inne narody troszczą się o ekonomję polityczną, Roma tworzy arcydzieła, które zbuntowana jéj córa, Anglja, chciwie uchwyca i przyswaja. Tu dopiero, zrozumiałam co powiedział Montalambert: Rzym i Anglja nie mogą się obejść bez siebie. Duch średnich wieków, duch gorącéj, żywéj wiary, najlepiéj w Anglji protestanckiéj dotąd się przechował. Szkoły, dobroczynne zakłady, uniwersyteta, wszystko w Anglji wyrosło pod opieką praw średniowiecznych, wszystko też jest doskonalsze, jak w ciągle doskonalącéj się Francji. Niech mi pokażą uniwersytet w katolickiéj Europie, w którym młodzież przystępowałaby dobrowolnie kilka razy na rok do kommunji. W Oksford, w Merton College, od czasu jak doktór Pussy, rozbudził ducha wiary, w młodzieży poświęcającéj się nauce teologji, na 100 uczni kollegium, 45 co tydzień do Stołu Pańskiego przystępuje. Prawda że owi tak zwani *puseiści*, wkrótce przenoszą się na łono rzymskiego kościoła, zwiększając liczniejsze codzień zastępy katolików w Anglji.

Słuchałam uradowana, gdy pani K. po krótkiéj przerwie rzekła mi: Czy wiesz żem była w Szkocji u księcia Atholl?— W Szkocji, a to po co?

—Brat mój zawołany myśliwy, namówił mię na tę podróż. Z ks. A. znał się już dawniéj, ponieważ się teraz łowy rozpoczęły pojechał polować na jelenie. I pyszne tam są lasy w owych szkockich górach, na raz widzisz stado złożone z tysiąca jeleni, myśliwi używają w całéj sile, ulubionéj rozrywki, a kobiety bawiące w zamku księcia przyglądają się łowom, która chce lub podoba sobie w tego rodzaju igrzyskach. Raz tylko jeden byłam na tych łowach i bardziéj mnie zachwycała wytrwałość myśliwych, aniżeli celność ich strzału. Po kilka godzin brodzili po błocie polując na bekasy, z początku myślałam wnosząc z grubego odzienia iż to strzelcy księcia lecz gdy za powrotem przyszli na obiad, poznałam moją pomyłkę. Jeden był jakiś sławny uczony z Aberdeen, drugi lord z izby wyższéj, inni książęta, hrabiowie i tam daléj.—O któréj więc siadaliście do stołu, kiedy aż za powrotem z ich polowania? — O 10téj wieczorem. Śniadanie drugie bywało o 2giéj, obiad zaś tak późno, a ciągnął się zwykle dwie godzin co najmniéj. Oddychałam téż swobodniéj kiedy po wszelkich pieprznych zupach, po przysmakach i doskonałéj zwierzynie, po lodach zwykle dwakroć obnoszonych, podawali na stół kiszkę z kaszy owsianéj; przysmak to narodowy ale nie nader smaczny. Ja przecie, witałam go najmiléj; był to bowiem dla kobiet znak do wstania od stołu. Mężczyźni zostawali jeszcze; gospodarz zasiadał na miejscu żony i rozpoczynała się pijatyka. Brat mój, który nie lubi tego rodzaju uciech, powiadał mi, że tak mile jak ja kiszkę z owsianéj kaszy, on witał pojawienie się gorzałki *whiski*, prostéj gorzałki naszéj, którą gospodarz doprawiając ciepłą wodą, rozsyłał z wielką uroczystością znakomitszym swym gościom, a każdy kto pierwszy raz siedzi u jego stołu mężczyzna czy kobieta, przysmak ten z rąk pana domu spełnić musi — a to po winie najwyborniejszém jak np. Porto, Szerry i t. p.

Dopiero kiedy *whiski* obeszła swą koléj wstawali od obiadu mężczyzni i szli do pań do salonu. Nie jeden z nich dobrze podchmielony, lecz taka jest siła wychowania domowego i zasad w tym narodzie, żem nigdy wyrazu nieprzyzwoitego, niepodchwyciła, co niezawodnie gdzieindziéj łatwo bardzo usłyszyć, nawet po trzeźwemu i w tak zwaném dobrém towarzystwie. W tym górzystym kraju gdzie tylko owies rośnie, a w pałacu księcia taki zbytek i przepych, w tym kraju mówię, kładliśmy się o 2giéj z północy jak gdybyśmy spędzali karnawał w Paryżu. Usługi, wygody, komfortu jedném słowem, jakiego w tym i każdym domu w Anglji, doznaje mało czy blisko znajomy gość, wypowiedzieć ci niezdołam. Ale nieuśmiechaj się tak słodko, droga to jednak gościnność. Brat mój zostawił służbie tysiąc franków — *tysiąc tylko*. Państwo L. u księcia Hamilton. 10 tysięcy franków rozdali służbie; znasz mię i wiesz że nigdy ani kłamię ani przesadzam."

O moja Polsko najmilsza, pomyślałam wtedy i twoi synowie z gościnności słyną. U nas można jechać od wsi, do wsi, wstępować do dworów i dworków, wszędzie za-

siąść u stołu ziemianina i wszędzie spotkać serdeczne przyjęcie nawet u nieznajomych, wszak wiem to z doświadczenia! I przypomniało mi się prześliczne Podzamcze, gdzie przy wytworze i dostatku, tyle pokarmu dla myśli i serca. Gdzie taki prawdziwie angielski ład, angielski dobry byt dla służby i czeladzi, angielskie niestety! zamiłowanie swojskości, lecz bez angielskich zbytków i wymysłów. Wybaczcie mi ten ustęp, ale może niewiecie że jest w Polsce oaza porządku, wygody, chrześcijańskiego stosunku między panem i służbą, że jest dom pański z ochronką dla włościańskich dzieci, szkołą dla parobków i że tém jest — Podzamcze. Wspomnienia moje, przerwał głośny wykrzyknik, pana F. francuzkiego podróżnika.

—Panie chwalicie rozmaite kraje, a ja powiadam, że niemasz jak Turcja! Przejechałem wzdłuż i wszerz Europę, niemasz jak Turcja, powtarzam.— Czy dla tego, że tam wielożeństwo dozwolone, podchwyciła pani K. — A może dla tego, dodałam, że niewierną małżonkę, wolno tam zawiązać w worek i pogrążyć w pierwszéj lepszéj głębokiéj wodzie?

— Niekorzystałbym z tych dogodności, jeszczem nie żonaty. Ale Turcy niémają biurokracji, gdyż całe archiwum mieści się w sakwach urzędnika, niemają potrzeby uczyć się obcych języków, każdy tam znajdzie tłomacza, dogodność, na której zbywa niemcom we Francji, a francuzom w Niemczech. Na koniec każdego przybysza pytają w Stambule, *podług jakich praw*, chce żyć — dość, że na ziemi tureckiéj można być jak we własnym kraju, a nikt cudzoziemca niepokoić niebędzie i do spraw jego domowych się nie wmiesza, co prócz Anglji wszędzie się spotyka.

— A więc to jest kraj wielkiéj swobody, ta Turcja? zapytała z uśmiechem pani K.

— Zapewne, odparł pan T. kraj który można przybrać za drugą ojczyznę.

Zamyśliłyśmy się obie.......

Chciałam poznać jednego z najsławniejszych nauczycieli śpiewu w Paryżu. Panna M. bierze lekcje u niego, prosiłam żeby mi pozwoliła towarzyszyć sobie. Na pierwszéj lekcji myślałam że się uduszę ze śmiechu, przyszłam bowiem w oczekiwaniu jakiegoś głębokiego wykładu teorji śpiewu, usłyszałam... kurs filozofji, teologji, psychologji. Dowiedziałam się tedy: że każdy człowiek ma 9 usposobień (aptitudes) odpowiadających dziewięciu chórom anielskim. Że jest 27 stopni między rozumem a szaleństwem, że jest 48 miljonów sposobów otworzenia ust, 875 odmian wyrazu w spojrzeniu i t. p. Cała ta mistyczna teorja, ujęta jest we 3 koła, w siebie wpisane. Pan D. umiejętnie nam tłumaczył wady i cnoty ludzkie, złym lub dobrym kół tych przewrotem. Ojciec panny M. po kilku takich lekcjach, pytał się nas, czy ten sławny człowiek nie jest warjat? — Ależ on tyle wykształcił znakomicie śpiewających uczennic, że ta jego teorja, niczém więcéj nie jest tylko — blagą. Blaga francuzka *humbug ang* — spotyka się zazwyczaj w handlu. Tu jednak uważam, blaga duszą jest wszystkiego. Co wieczór, przebiegam ciekawie okiem ostatnią dzienników stronnicę. Jakiż to szczęśliwy kraj ta Francja! Kupcy dają tu każdy towar za pół darmo, dziwię się doprawdy że ludzie we Francji starzeją się lub umierają. Tyle przecie jest wódek, mydeł, kropel, przeciw zmarszczkom, siwiznie, łysinie a wszystkie *niezawodne!* Pan Didier sprzedający proszek z białéj musztardy, codzień odbiera w dziennikach po kilkatysięcy podziękowań. Biała musztarda wszystko leczy: skira, suchoty, gorączkę, tyfus i t. d. Szczęśliwy lud którym tak przeważnie rządzi blaga..... W takiém mieście jak Paryż *być albo niebyć*, zagadnieniem jest żywotném. Zacząwszy od stacji omnibusowych, przed któremi wyczekujące tłumy, wyglądają jak dusze w czyscu będące, chwili wejścia do raju, czyli do natłoczonego omnibusu, aż do gonitwy za powszednim zarobkiem na którym często zbywa zdatnym nawet ludziom, każdy musi tu koniecznie, myślić o sobie. To przeświadczenie nasunęła mi rozmowa ze szwaczką szyjącą bieliznę za 2 fr. na dzień bez życia. Młoda, wątła, słabowita zarabia na dwoje dzieci i męża, który ciągle szuka roboty i znaléźć jéj nie może.

— A cóż umie twój mąż? zapytałam.

— Do każdéj ciężkiéj chętnie się przyda pracy, aleby i u kupca mógł się umieścić gdyż pisze i rachuje bardzo dobrze.

— Czemuż więc się nie umieścił?

— Szuka miejsca, ale znaleźć nie może.

— Powiedz mi dla czegoście opuścili rodzinne strony a przyszli do Paryża; wśród swoich, zawsze zarobek łatwiejszy.

— *Ma foué* (ma foi) *Mlle* u nas w Berry, koleje żelazne tak zmieniły stosunki miejscowe, że teraz o zarobek trudno.

— To trzeba było jąć się roli i uprawiać kawałek ziemi pod jarzyny.

— *Ma foué*, to niewystarczy na wyżywienie siebie i dzieci, bo sałatą i samą fasolą żyć nie można, a pod zboże potrzeba dobrze grunt uprawić, trzeba na to sprzężaju i gospodarskich sprzętów. Zarobek przy ziemi mały; kobiety dostają kilkanaście *sous* tylko na dzień, mężczyzni 30 do 40tu wszakże utrzymać się z tego niemożna. Przeszłéj zimy, mąż (*mon homme*) chorował. Odzież moją zbyłam wtedy za bezcen, żeby lekarstwo zapłacić w aptece i chleba kupić dzieciom. Jednak gdyby nie pewna dobroczynna pani, która mieszkała w sąsiednim domu, bylibyśmy przepadli zupełnie.

— Cóż wam ta pani uczyniła?

— Co tydzień przysyłała nam 4ry funty chleba i raz dała nam 5 franków.

— Czy nie wiesz co ona za jedna?

— Jakaś baronowa.... Kiedy nam bardzo dopiekła nędza, mąż mój napisał list do niéj, bo rozumiesz *Mademoiselle*, że do takich ludzi, nam biedakom, nie wypada mówić.

— Zapewne, zapewne, odparłam twierdząco i wnet wspomniałam sobie kraj mój kochany; zestawiłam nasze obyczaje z obyczajami ucywilizowanego Zachodu, porównałam nędzę ludu naszego z ludem tutejszym. Co do biedy która wszędzie ubogich gniecie, w tém nié ma różnicy. Ubogi jednego kraju Europy, tak podobny do ubogiego w innym kraju, jak dwie krople wody; przyczyny i skutki jednakie. Ale nasz lud umié się odezwać do *wyższych*, kiedy tego potrzebuje, włościanin zaś francuzki jeszcze tego nie śmié. Serdecznie się też rozśmiałam, gdy w dziele pana Darny (historja Francji), dziele bardzo pięknie napisaném i znakomitém jako książka dla młodzieży, wyczytałam to zdanie: że noc 4go Sierpnia 1789 roku, wydała narodzenie się równości. Trzeba mieć odwagę nielada, żeby w obec świata chrześcijańskiego, z takiém wystąpić zdaniem! Pomijając starożytnego świata ustawy, nie wchodząc w to, jak dalece rozwijały pojęcia o wolności osobistéj, śmiało jednak rzec można, iż wyswobodzenie rodu ludzkiego zaczyna się od téj nocy, w któréj gwiazda Magów zaświeciła nad stajenką Betleemską i w której pastuszkowie razem z królami i mędrcami, upadli na kolana przed żłobkiem Zbawiciela..... Tę prawdę stwierdzają całe dzieje. Pani Beecher-Stowe znakomita amerykańska autorka, choć sama jest protestantką, z najzupełniejszą bezstronnością wyznaje: że tylko kościół umiał bez gwałtów, bez przymusu znieść u nowonawróconych niewolnictwo. A dla czego Bóg mu dał tę siłę? bo jest *jeden*, w zasadach swych niewzruszony. To właśnie stanowi jego potęgę. Na téj drodze jedności, miłości i zgody, każde chrześcijańskie społeczeństwo zawsze zwycięży.

Zawsze ze smutkiem nad tém rozmyślałam, jak uciążliwą dla ubogiego, jest opłata za komorne. Otóż trzy tygodnie temu na nabożeństwie w Auteuil, dowiedziałam się z wielką pociechą, że tu jest stowarzyszenie ku pomocy ubogich, w tym strasznym a nieodzownym wydatku. Proboszcz tutejszy, zachęcając obecnych do składki, wyłuszczył zasady tego stowarzyszenia, *oeuvre du loyer des pauvres*. Każdy kto chce z rzemieślników lub innych przemysłowców, może co tydzień wnieść franka do kassy stowarzyszenia, po 3ch miesiącach odbiera złożoną summę z procentem 25 na sto. Wolno złożyć całe kwartalne jeźli kto uzbiera aż tyle i odebrać z procentem. Dla tak ciężko ubogich którzy się niezdobyli na summę wynoszącą komorne za kwartał, stowarzyszenie spieszy z pomocą, dokładając resztę. Każdy zaś inny ma ulgę, bo na 100 frankach 25 zyskuje, a więc mieszka taniéj niż najął. Błogosławione takie stowarzyszenia! to już nie jest *blaga*, Bogu dzięki!

Pan Wiktor Sardou, człowiek nader dowcipny, jak utrzymują dzienniki, napisał sztukę w teatrze Gymnase przedstawianą, *Les Ganaches*, (niezdary, mazgaje). Treść

sztuki zapewne wam wiadoma, aktorzy grają doskonale, tylko ci nieznośni krytycy oprócz wielu innych zarzutów pytają: gdzie tu są *ganaches* niezdary, mazgaje? — Szukać ich w sztuce pana Sardou niebędziem bo się niedoszukamy; wolę przypomnieć wam anegdotę z czasów Napoleona Igo. Napoleonowi niedogodził raz w sztukach dyplomacji, teść jego Franciszek I Austrjacki. Rozgniewany cesarz Franków, rzekł tedy do swéj żony Marji-Ludwiki: *ton père est une ganache.* Cesarzowa nie biegła w ulicznéj francuzczyznie, zapytała któregoś z dworaków, co to znaczy *ganache?* Ten jéj wytłomaczył że to znaczy: *bardzo miły człowiek.* W kilka dni późniéj Marja-Lud. zadowolniona z owego dworaka, rzekła mu *Mr. vous étes une ganache* — osłupieli dworacy; Napoleon śmiał się do rozpuku.

Na bulwarze Magenta pojawiła się rzecz nowa pod słońcem. Jest to lalka z tektury mająca gardło kauczukowe; ta lalka śpiewa najpiękniejszym sopranem przez całe dwie oktawy. Twórcą tego arcydzieła jest pan Faber niemiec, były professor matematyki

Śpiewaczki stanieją wkrótce przy takim automacie.

*Julja Janiszewska.*

---

# POWIEŚĆ O DWÓCH MIASTACH DICKENSA.

(Dalszy ciąg.)

## VIII.

Łucja została żoną Karola Darnaya, ale zawsze mieszkała w domu drugiego swego ojca, a zarówno dla niego jakoteż dla małżonka była złotą nicią, która wiązała ich serca miłości ogniwem i darzyła szczęściem i spokojem. Często samotna w swoim pokoju przysłuchiwała się echu, które tak cudownie odbijało głos ludzkich kroków. Pomimo szczęścia, którego doznawała w małżeńskiém pożyciu z Karolem, nieraz smutne przeczucie owiewało jéj duszę i trwożyły ją echa tego domu i wypuszczała z rąk robotę, a oczy jéj ćmiły się łzami. Tak upływały dnie i miesiące, a młoda małżonka cieszyła się szczęściem drogich jéj osób i karmiła serce nadzieją, to znów zasmucała się chmurą zwątpienia, pod wpływem trwożnych snów wyobraźni i widziała wtedy rozwarty grób przed sobą i płakała nad losem ukochanych opuszczonych osób. Nakoniec przeszły chwile zwątpienia i obawy i Łucja ujrzała się matką; od tego czasu nie zważała ona na dźwięk tego echa, które niby widzeniem przyszłości niepokoiło jéj duszę, bo schylona nad kolebką niemowlęcia słyszała tylko odgłos szczebiotania jego i dziwnie rozjaśniał się dom cały uśmiechem miłego dziecka i rozpromieniła się dusza matki nadzieją i modlitwą, w któréj najdroższą istotę polecała Bogu.

Są rzadkie godziny w życiu, w których żadna chmurka nie zasępi pogody nieba, ani żaden ton smutny nie ozwie się w duszy i takie to chwile nastały dla rodziny doktora; rzekłbyś że jedna złota nić nadziei splotła serca wszystkich mieszkańców w domu pana Manette i Łucja była szczęśliwą o ile krótkie chwile radości rękojmią szczęścia być mogą. Dwoje złotowłosych dziatek wypiastowała już na swoich rękach, ale nadeszła wkrótce dla macierzyńskiego serca chwila srogiéj próby, gdy maleńki jéj synek ciężką dotknięty został chorobą. I smutnie było w tym domu, kiedy blade i konające dziecię wyciągnęło ku matce rączęta, wołając: droga mamo i ojcze mój kochany smutno mi, że was opuszczam i małą moją siostrzyczkę, ale Bóg mię przyzywa, więc pójść muszę do Niego.... Łucja rzewnemi skrapiała łzami martwe członki dziecięcia, ale boleść jéj nie miała nic wspólnego z rozpaczą, bo skrzydła anioła śmierci zaszeleściały nad nią wraz z echem tego głosu, który pochodził z nieba. Westchnienia wiatru szemrzącego nad mogiłą jéj syna, odzywały się nieraz w duszy Łucji, ale cichém echem,

niby szmer uśpionego morza, bo maleńka Łucja bawiła się lalką u stóp jéj, lub szczebiotała wesoło w ojczystym i rodzinnym języku tych dwóch miast, z któremi spojone było jéj życie. Nie częściéj jak raz w miesiąc nawiedzał Sydney Karton dom doktora Manette, a skoro przyszedł bawił zazwyczaj wieczór cały, ale jak dawniéj tak i teraz nie bywał nigdy podchmielony w przytomności Łucji. Każdy kto prawdziwie kochał kobietę, która została żoną innego, a następnie matką, miłuje także jéj dzieci, które również wzajemném odpłacają mu uczuciem; ta miłość, to współczucie dziecka jakkolwiek nie da się wytłomaczyć, jest jednak niezaprzeczonym faktem. Ku Kartonowi najprzód wyciągnęła mała Łucja swoje rączęta, a miłość jéj ku niemu nie ostygła z czasem i mały chłopczyk Łucji mówił o Sydneyu ciągle w czasie swojéj choroby, a prawie jego ostatnie słowa były: biedny Karton, ucałujcie go odemnie!

Pan Strywer szedł zawsze naprzód, torując sobie drogę nakształt wielkiego parowego statku wśród burzliwego żywiołu prawniczego morza; za nim zaś jego przyjaciel postępował niewolniczo jak łódź za okrętem, a jak łódź bywa miotana na wszystkie strony i znajduje się najczęściéj pod wodą, podobnież Sydney zależnym był zupełnie od chimery losu i woli swego przełożonego. Ale wielka siła nawyknienia tak przykuła Kartona do wozu Strywera, że nie myślał wcale o zmianie losu, lub porzuceniu roli szakala, również jak żaden prawdziwy szakal nie pomyśli pewnie nigdy o przeistoczeniu się na lwa. Strywer poślubił bogatą wdowę, która oprócz posagu przyniosła mu także w darze trzech chłopców. Pewnego poranku wchodził pan Strywer do domu na rogu ulicy Soho, a przed nim szli trzej panicze, niby trzy jagnięta, które zamyślał adwokat powierzyć opiece Karola Darnaya. Można sobie wyobrazić podziw i zgorszenie Strywera, kiedy nauczyciel odmówił mu bardzo grzecznie, oświadczając, że żadną miarą podjąć się nie może opieki nad temi dziećmi. Obrażony adwokat wyszedł z gniewem z domu doktora, a wyciągając z tego wydarzenia moralną naukę dla swoich pupillów, napominał ich ażeby się strzegli pychy, która nawiedza nie tylko możnych ale nawet i biednych, czego jest dowodem postępek nauczyciela, Karola Darnaya. Nieraz podchmielony winem opowiadał Strywer swojéj małżonce, jak żona Karola, pani Darnay używała różnych zręcznych podejść, ażeby go przyciągnąć do siebie, jak zastawiała na niego pułapki, ale że on wybornie znał się na tych samołówkach, więc nie dał się w nie złapać. Towarzysze Strywera, którzy pili z nim razem, a zatém słuchali jego kłamliwych przechwałek, pod pozorem uniewinnienia go mówili, że tak często zwykł był adwokat powtarzać jedne i te same kłamstwa, iż nie dziw jeżeli najzupełniéj sam w nie już uwierzył, które to jednak tłomaczenie tak świadczyło wielce na niekorzyść winowajcy, że można go było za to, jako niepoprawionego łgarza, powiesić bez sądu.

Maleńka Łucja kończyła już rok szósty, a matka jéj raz zamyślona, to znów uśmiechnięta i wesoła, przysłuchiwała się miłemu szczebiotaniu dziecięcia. Miesiące biegły za miesiącami, a wszystko zdawało się uśmiechać Łucji, bo miłość córki, męża i ojca, oto była ta nić złota, która oplatała koło jéj życia i napełniała je najsłodszą harmonją. Ojciec kochał ją zawsze równie serdecznie i mawiał nieraz, że odkąd została żoną i matką, odtąd zdaje się być jeszcze czulszą dla niego, a mąż pytał się jéj często: powiedz mi kochana moja zkąd posiadasz ten talizman, mocą którego jesteś aniołem pocieszycielem dla nas wszystkich, a kiedy zadość czynisz obowiązkom względem każdego z nas, wykonywasz to tak zręcznie i szybko jak gdybyś bardzo mało zadawała sobie pracy.”

Łucja była swobodną i szczęśliwą, gdy nagle złowrogie przeczucia zakołatały do jéj serca. Zbliżała się szósta rocznica urodzin maleńkiéj Łucji, kiedy ozwał się we Francji gwar wzburzonego morza, którego echo doszło aż do Anglji.

Pewnego wieczora w połowie miesiąca Lipca, roku 1789, pan Lorry przyszedł już późno do domu doktora i zasiadł pomiędzy Łucją a jéj mężem. Noc była gorąca, więc przypomnieli sobie wszyscy ów wieczór letni, gdy siedzieli razem w tym samym

pokoju około okna, przyglądając się burzy i błyskawicom.

— Myślałem już, rzecze pan Lorry, poprawiając perukę, że przepędzę noc całą w domu Tellsona, mieliśmy tak dużo do czynienia dnia dzisiejszego, że nie wiedzieliśmy od czego zacząć najpierw. Z powodu wypadków zaszłych w Paryżu, wszyscy uciekają się pod naszą opiekę i zarzucają nas swojemi kapitałami, rzekłbyś, że jakaś ogólna mania ogarnęła tych panów, pod wpływem którėj majątki swoje chcą lokować w Anglji.

— Ten fakt jest bardzo złą wróżbą, rzekł Darnay.

—Widzisz w tém złą wróżbę, kochany panie Darnay? Wszystko być może, ale ja niedostrzegam dotąd prawdziwego źródła obawy. My, którzy posiwieliśmy już w domu Tellsona, nie lubimy niepokoić się bez słusznéj przyczyny.

— Czyż nie wiesz panie Lorry jak niebo jest pochmurne i groźne?

— Wiem, wiem o tém, ale po całodziennéj pracy jestem w najgorszém usposobieniu.

— Czy doktór Manette jest w domu?

— Jest gotów na wasze usługi, rzekł doktór wchodząc do ciemnego pokoju.

— Bardzo cieszę się z tego, że was zastaję w domu, bo nawał pracy w dniu dzisiejszym a przytém złe wieści i wróżby tak niekorzystnie wpływają na moje zdrowie, że nigdy jeszcze nie czułem się być rozdrażnionym do tego stopnia. Spodziewam się panie Manette, że nie wyjdziecie już z domu o téj porze?

— O, nie, mam ochotę zasiąść do gry z wami, odpowiedział doktór.

— Wyznaję wam szczerze, że nié mam żadnéj ochoty grać dzisiaj z wami. Łucjo! racz mi powiedzieć czy herbata jest już na stole, bo nic doprawdy nie widzę.

— Herbatę zastawiłam dla was.

— Dzięki wam, miła pani, a teraz powiedźcie mi, proszę, jak się wasze dziecię ukochane miewa?

— Zdrowe jest i śpi spokojnie.

— Cieszę się z tego mocno, niech Bóg wam szczęści, bądźcie tak zawsze zdrowi mili i spokojni. Ja mam dużo kłopotów i minęły już moje młode lata, ale wy, wy dopiero zaczynacie żyć na świecie! Siadaj obok mnie Łucjo! posłuchajmy tego echa, które niegdyś zaniepokoiło cię tak srodze.

— To było tylko marzeniem.

— Marzenie, moja mądra pani, rzekł Lorry uderzając ją po ramieniu. „Ależ posłuchaj tylko jak głośne i groźne dochodzi do nas echo, — czy nie?“

## IX.

Tymczasem smutny widok przedstawia majątek ziemski zmarłego niedawno markiza; wszędzie jak sięgniesz okiem widzisz pustki i ruinę; biedne tutaj są trawy i nędzne jest zboże jak lud który go zbiera. Chaty wiejskie, zwierzęta, mężczyzni, kobiety i dzieci, istoty żyjące czy martwe przedmioty, wszystko nosi cechę nieszczęścia i nędzy. Ale od niejakiego czasu zaczęły się pojawiać w tém majątku nowe nieznane dotąd postacie, które należały do niższych warstw społeczeństwa.

Znany nam drożnik siedział samotny i zadumany przy drodze, od stóp do głowy pokryty kurzem i prochem, a możemy zaręczyć że nie myślał w téj chwili o tém, że z prochu powstał i w proch się obróci, bo troska o chleb powszedni nie dopuszczała do jego głowy innéj myśli, prócz téj tylko, że dużo musi pracować zanim zarobi sobie na nędzną strawę i że gdyby został bogatszy, daleko więcéj mógłby spożywać.

W téj właśnie chwili kiedy biedny drożnik zaczął dumać nad swoim losem, zbliżył się ku niemu człowiek wysokiéj postawy i dzikiego oblicza. Było to w połowie miesiąca lipca 1789 roku. Podróżny, który stanął przed drożnikiem, był czarny i pokryty kurzem, z rozczochranemi włosami, w podartéj odzieży, do któréj przylgnęły wraz z błotem gałązki i liście drzew, jak gdyby przez gęste przedzierał się zarośla. Podróżny spojrzał się na drożnika, potém na wioskę, na dom pocztowy i więzienie na wzgórzu; następnie tak przemówił:

— Co tu słychać?

— Dobrze.

Podali sobie ręce i uścisnęli się w milczeniu, poczém podróżny usiadł obok drożnika na kamieniach.

— Czy jadłeś obiad?

— Nie, czekam na posiłek aż do wieczora, odparł drożnik.

Taki jest teraz zwyczaj, rzekł ponuro podróżny, nie spotkałem nigdzie po drodze obiadu; to powiedziawszy wyciągnął z kieszeni fajkę, nałożył w nią tytuniu, dobył krzesiwa i zapalił, a kiedy ogień dobrze się rozżarzył, wtenczas wypuścił coś z palców, co zapaliło się płomieniem i uleciało z dymem.

— Podaj mi rękę, rzekł drożnik zauważawszy ostatnią czynność podróżnego; poczém podali sobie ręce i uścisnęli się.

— Téj nocy? zapytał drożnik.

— Tak, téj nocy; odparł podróżny wkładając fajkę w usta.

— Gdzie?

— Tutaj. Pokaż mi drogę.

O patrz! spuścisz się na dół, potém pójdziesz wprost przez ulicę, potém około zdroju...

— Idź do djabła z tą drogą; ja nie pójdę przez ulicę ani około zdroju. Czy zgoda?

— Zgoda. Patrz! pójdziesz tém wzgórzem, ćwierć mili jeszcze za wioskę.

— Dobrze, a kiedy ukończysz robotę?

— Nad zachodem słońca.

— Słuchaj: nie zmrużyłem oka przez dwie nocy, a więc muszę nieco odpocząć, ale ty mię obudzisz skoro twoję ukończysz robotę. Pozwól że wypalę całą fajkę, póżniéj zasnę spokojnie jak dziecko. Czy tylko pewnie mię obudzisz?

— Najniezawodniéj.

— Podróżny zrzucił drewniane trzewiki i położył się na kamieniach; wkrótce zasnął trzymając fajkę w ustach.

Drożnik odrywał się często od roboty i przypatrywał się ciekawie twarzy ogorzałéj i atletycznéj postawie podróżnego, który leżał na wznak z czapką czerwoną na głowie, a złowieszczy wyraz w zaciśniętych uśpionego ustach, przejmował go trwogą.

Podróżny spał ciągle, obojętny na gromy i błyskawice pochmurnego nieba i na blask słońca, które powstało świetne z burzy i krople deszczu na piersiach uśpionego zamieniło w brylanty, aż nareszcie dobiegło do wieczornéj mety i zwolna zapadło w ziemię. Kiedy jaskrawym rumieńcem zapłoniły się niebiosa, drożnik ukończywszy dzienną pracę zebrał swoje narzędzia, poczém obudził podróżnego.

- Dobrze, rzekł przebudzony, podnosząc się zwolna i przecierając oczy; mówisz że jeszcze ćwierć mili za wsią?

— Około tego.

— Dobrze.

Drożnik wrócił do wsi, a zjadłszy wieczerzę poszedł do zdroju, około którego zebrała się gromadka ludu. W miarę jak noc zapadała, ludzie zaczęli szeptać pomiędzy sobą, a wszystkich oczy skierowały się ku jednéj stronie. Pan Gabelle rządzca i pocztmistrz w dobrach markiza, był widocznie zaniepokojony tego wieczora, bo wychodził często na poddasze swego domu i spoglądał się w tę samą stronę, ku któréj skierowane były oczy ludzi stojących około zdroju; nagle jakby dopatrzył się czegoś, wybiegł z domu i kazał zakrystjanowi uderzyć natychmiast w dzwony.

Niebo coraz było czarniejsze. Stare drzewa stojące rzędem w pewnych ustępach, około murów poruszyły się z powstającym wichrem i zdało się jakoby groziły w téj nocy czarnym murom zamczyska. Deszcz zaczął padać kroplisty i bił gwałtownie w główne drzwi zamku, a wiatr napełniając przeraźliwym świstem korytarze dostał się do sypialnego pokoju zamordowanego markiza i poruszył kotarę łoża, na którém pan zamku spoczywał po raz ostatni.

Z północy, ze wschodu, z południa i zachodu wysunęły się z pomiędzy drzew cztery czarne postacie i z ostrożnością połączyły się w zamkowym dziedzińcu, poczém rozeszły się znowu w różne strony i cztery zabłysły światła, które nagle przepadły i ciemno zrobiło się naokoło.

Ale niedługo czarna nocy zasłona pokrywała zamek, bo wkrótce rozwidniły się ściany niby własném światłem, a łuki, gzemsy i okna odznaczały się coraz wyraźniéj w cieniach nocy, aż w końcu szeroki strumień światła odbił się na murach i z wielkich okien zamczyska wystrzeliły płomienie, a kamienne oblicza zbudziły się nagle i roztworzyły paszcze w ogniu.

Popłoch wszczął się na zamku i kilku z jego mieszkańców wybiegło z okrzykiem, poczem dosiadają koni i pędzą czwałem. Koń pana Gabelle stał w pogotowiu przed jego mieszkaniem. Ratunku, wołają — ra-

tunku! i w dzwon kościelny dzwonią, a na wsi u zdroju stoi drożnik, w gronie innych wieśniaków; mieli na myśli śpieszyć z pomocą, lecz każdy patrzy się na łunę pożaru i mówi ruszając ramionami: ogień jest już tak wysoko! — Gońce pędzą na koniach ku stronie więzienia i wzywają żołnierzy, ażeby pośpieszyli na ratunek, ale ci patrzą się obojętnie i odpowiadają: nié ma ratunku, zamek spalić się musi.

Tak więc zamek pozostawiony był na pastwę ognia. Czerwony płomienny wicher, z jękiem i syczeniem, dął z piekielną mocą na zagładę gmachu; a wśród strzelającego ku niebu, to znów zniżającego się ku ziemi płomienia, kamienne oblicza zdawały się okropnéj doświadczać katuszy. Kiedy spadał na ziemię gęsty grad kamieni, jedna twarz poczerniała, potworna, w téj walce z płomieniem i dymem, rzekłbyś że przypominała okrutną twarz markiza.

Zamek dogorywał zwolna objęty ze wszystkich stron płomieniem. Najbliżéj stojące do koła drzewa dawno dotknięte zostały pożarem i kopciły się dymem, ale więcéj oddalone topole, teraz dopiero podpalone zostały, więc nowym lasem czarnego dymu objęły gmach do koła. Roztopione żelazo spadało w marmurowe łoże fontanny i w niéj kipiało jak ukrop gorące, a ołowiane dachy czterech baszt zamczyska znikły jak śnieg przed słońcem i z każdego rogu płomiennym kapały zdrojem. Ptaki oniemiały z przestrachu i dopóty kołowały nad gmachem aż w końcu upadły w wielki piec ognisty.

X.

Trzy lata maleńka Łucja podrastała spokojnie na łonie matki, która jak dawniéj tak i teraz oplatała złotą nicią miłości serca wszystkich członków rodziny.

W Londynie, sekretarze domu Tellsona byli wielce czynnemi w tym czasie, bo w skutku wypadków politycznych na stałym lądzie, panowie francuzcy ciągłe mieli stosunki z tym handlowym domem. Pewnego dnia zimowego po obiedzie roku 1792, pan Lorry siedział około swego biórka, kiedy Karol Darnay stał obok niego i rozmawiał z nim po cichu.

— Chociaż jesteś pan starszy odemnie, ale pozwolisz że ci zrobię jednę uwagę, rzekł Karol nieśmiało.

— Rozumiem, chcesz pan powiedzieć że jestem już bardzo stary, rzekł Lorry.

— Wiele jest przeszkód, późna pora roku, trudy podróży w tym zaburzonym kraju, a nadewszystko stan obecny tego miasta.

— Mój drogi Karolu, wypadki zaszłe we Francji a nawet w samym Paryżu, nie dotyczą się mię wcale, bo nikt prawie nie pomyśli zaczepiać już prawie ośmdziesięcioletniego starca, a właśnie te same wydarzenia polityczne, skłaniają mię ażebym się udał do naszego handlowego domu w Paryżu, ponieważ nikt odemnie lepiéj nie zna ani tego miasta, ani jego handlowych stosunków z nami. Przykra pora roku i trudy podróży nie odstraszają mię wcale, owszém podejmę takowe chętnie z przywiązania do domu Tellsona.

Ja sam pragnąłbym się tam udać, rzekł Karol z wyrazem niespokojności na twarzy.

— Czy tak? dobry jest z ciebie jak widzę doradzca. Pragnąłbyś sam udać się do Paryża, chociaż rodowitym jesteś francuzem?

— Właśnie dla tego samego panie Lorry, że jestem rodowitym francuzem, chciałbym się teraz udać do Paryża. Kiedy wspomnę jak wiele współczucia okazałem niegdyś dla tego nieszczęśliwego ludu, przychodzi mi myśl do głowy, że moja obecność mogłaby być przydatną w tym czasie krajowi, że mógłbym się przyczynić do przytłumienia tego strasznego pożaru. Myślałem o tém ostatniego wieczora, po twojém wyjściu z naszego domu panie Lorry, kiedy rozmawiałem z Łucją.

— Kiedy rozmawiałeś z Łucją? powtórzył Lorry. Dziwię się jak możesz wspomniawszy imie żony, roić o powrocie do Francji w téj porze krwawych rozruchów.

— Przecież nie jadę jeszcze, rzekł Darnay z uśmiechem, chociaż cel mojéj podróży może jest ważniejszy od twego, panie Lorry. *D. c. n.*

# KILKA SŁÓW O NOWSZYCH KSIĄŻKACH.

Rozpoczynając znów zimowe nasze sprawozdania o książkach, które mogą być czytane z przyjemnością i pożytkiem w kółku rodzinném, polecamy wszystkim osobom pragnącym kształcić umysł a osobliwie dorastającéj młodzieży, dzieło francuzkich professorów *Jacqcs, Simon i Saisset* pod tytułem **Przewodnik Filozofji**, przełożone na polski język przez znakomitą naszą autorkę panią Eleonorę Ziemięcką. Zajmującém czytaniem wieczorném być może **Pamiętnik o Adamie Potockim pułkowniku jazdy za Ks. Warszawskiego**, wydany przez córkę jego Karolinę Nakwaską. Daléj **Pamiętnik Krzysztofa Zawiszy wojewody Mińskiego**, wydany przez J. Bartoszewicza, **Konfederacja Gołąbska**, obraz historyczny obejmujący większą część panowania Michała Wiśniowieckiego, przez Wyrwicza opata Hebdowskiego, nowe wydanie. Księgarz Brukselski Gersztman który przedsięwziął przedruk powieści historycznych polskich wydał już kilka bardzo zajmujących. Z innych książek rozmaitéj treści polecamy tu jeszcze: **Urywek ze Wspomnień Józefa Rulikowskiego** z wstępem Bartoszewicza, a wreście **Hetmańskie pacholę** nowy poemat znanego i ulubionego naszego narodowego poety W. Pola, które się ukazać ma wkrótce. Z dzieł francuzkich zajmujące są: *Etudes morales et politiques par Laboulaye*, *Questions actuelles par Ernest Bersot. Les moines d'Occident par Montalembert*, *l'Afrique nouvelle par Jacobs. Coppet et Weimar Mme de Staël et la Grande duchesse Louise*, ostatnia ta książka zawiera niektóre nowe szczegóły z rodzinnego życia znakomitéj francuzki. Z powieści najnowsze są: *Tamaris i Antonia*, *par Georges Sand. Histoire de Sibille par Octave Feuillet. Laurentia histoire Japonaise, par Lady Georgina Fullerton. Rafaella p. Silvio Pelico, Maria Regina par la comtesse de Hahn Hahn. Le juif de Verone, par Breschiani, la sorcière de Melton Hill par Snowdrops.*

# O UBIORACH.

Widziałyśmy w tych dniach suknię ślubną, któréj materjał mimo skromnego i lekkiego pozoru, kosztować musiał więcéj od sztywnéj mory, lub staroświeckiego adamaszku. Tych ostatnich wyrobów użyć można przynajmniéj późniéj na rzeczy kościelne, gdy przeciwnie massy illuzji użytéj na suknię którą opisujemy, na nic się właściwie przydać w domu nie mogą. Stanik jéj był gładki, wycięty, z bawetem dość nawet długim, pokryty illuzją i przyozdobiony okrągłą bertą układaną z fałdów potrójnie wziętéj illuzji. Berta oszyta była do koła szeroką białą blondyną, w pośrodku zaś przepięta bukietem z pomarańczowego kwiatu, rękawki, krótkie i bufiaste. Na gładkiéj białéj *poult de soie* spódnicy, szła druga illuziowa naszyta od dołu prawie do samego bawetu ruszami z tegoż materjału, szerokiemi na cztery cale, a ujętemi u góry w białe atłasowe ruloniki. Na tę dopiero spódnicę szła trzecia gładka szeroka również z illuzji, bez obrąbka u dołu co jéj nadawało pozór więcéj obłoczysty. Z prawego boku podpięta była u kolan bukietem pomarańczowego kwiatu, przewiązanym kokardą z szerokiéj atłasowéj wstęgi o długich końcach. Na głowę przygotowany był obok téj sukni duży okrywający całą postać welon, upięty na druciku wraz z pomarańczowym białym wieńcem. Bardzo świeżą także a bez porównania mniéj kosztowną, była suknia ślubna z białego tarlatanu na muślinowéj spódnicy. Miała ona trzy szerokie falbany oszyte tarlatanową również ruszą, stanik gładki wycięty z krótkiemi o dwóch bufkach rękawkami i bertą okrągłą naszywaną ruszą, a krzyżującą się na przodzie jak chusteczka, któréj długie końce wygarnirowane również, wiązały się z tyłu tworząc szarfę. Ubranie głowy składało się jak u pierwszéj z dużego welonu i wieńca. Ładnie wyglądała także suknia tarlatanowa biała dla druchny. Miała dwie tylko szerokie falbany naszyte u brzegu potrójnym rzędem czarnéj aksamitki. Stanik pod spodem wycięty i gładki, z wierzchu był marszczony pod szyją i ściśnięty w stanie szeroką białą tarlatanową szarfą, naszywaną również wązką czarną aksamitką. Rękawy pod spodem gładkie i krótkie tworzyły z wierzchu od ramienia jedną dużą bufę, ściągniętą i związaną u ręki czarną aksamitką. Dopełniał tego świeżego i skromnego ubrania djademik z czarnych również aksamitek. Do ślubnych ubiorów w obecnéj porze, w kościele najstosowniejszą jest zarzutka z białego kaszmiru, lekko podwatowana, podszyta białym fularem i obłożona do koła łabędzim puszkiem. Ubiór ranny przeznaczony dla młodéj mężatki podobał nam się niezmiernie. Złożony był z bluzki popielatéj kaszmirowéj ujętéj w stanie paskiem szwajcarskim z czarnego aksamitu. Czarny aksamit otaczał również ukośną plisą szerokie otwarte rękawy i dół spódnicy. Przygotowane były do tego z przezroczystego białego linonu szerokie mankiety, maleńka karbowana krezka i okrągły czepeczek oszyty potrójną wyrurkowaną falbanką z tegoż materjału. Widziałyśmy także suknię do większego ubrania dla czternastoletniéj panienki z jasnéj popielatéj popeliny.

Spódnica niedochodząc kostek, zakończona była dwoma rurkowemi falbankami, po nad któremi szło dwa razy naszycie, na palec szeroką czarną aksamitką. Rękawy dość wązkie u ręki, zdobiły czarne aksamitki i czarne aksamitne guziki. Rząd takichże guzików zapinał gładki pod szyję stanik. Szarfa spadająca z tyłu, z tegoż materjału co suknia, oszywana była także aksamitkami. Młode bardzo panienki za jedyne ubranie głowy, noszą cieniuchne czarne, jedwabne siateczki, zdobne w drobne perełki ze stali lub z czarnéj lawy. Małe siedmio lub ośmioletnie dziewczynki, noszą do ubrania sukienki krótkie wycięte z krótkiemi bufiastemi rękawkami, których staniczek gładki zakończa berta w kształcie szelek. W obecnéj porze zarzucają zwykle paletocik z tego samego materjału. Chłopczyków do lat pięciu i sześciu ubierają w sukienki, późniéj zaś w rodzaj zuawki, pod którą kamizeleczka lub bluzka, przepasuje się szarfą zakończoną frendzlą i związaną u boku. Od lat dwunastu najlepiéj jest aby nosili zastosowany do swego wieku zwyczajny męzki ubiór. Kolor czarny z białym tak ciągle jest używany w Paryżu, że obecnie nawet srebra stołowe znaczą cyframi z czarnéj emalji, co ładnie bardzo wygląda. Kapelusze wszystkie prawie robią z materjałów w połowie czarnych i białych. Okrągłe pasterki, które dawniéj francuzki używały jedynie u wód, na wsi lub w podróży, obecnie tak u nich weszły w modę, że niezadługo zapewnie należeć będą do wizytowego stroju. Robią je najwięcéj z czarnego aksamitu, zdobne na wierzchu ronda pękiem piór popielatych, czarno nakrapianych i czarnym kwiatem. Najmodniejszego fasonu wizytowe suknie w Paryżu, zowią się *mousquetaire*, jest to rodzaj amazonki zdobnéj w świecące stalowe szpiczaste guziki. Drugi rodzaj zwany *Amadis*, ma gładki stanik z paskiem otoczonym klapkami spadającemi jak baskina. Krótkie zuawki aksamitne, sukienne, lub z tego materjału co spódnice, bardzo są zawsze używane, pod spód kładą do nich kamizeleczki lub bluzki białe kaszmirowe. Najmodniejsze tamże paletoty zowią się *polonaise*. Są one znanego u nas zwyczajnego kroju, okładane futrem i przyozdobione nie wielkim futrzanym również kołnierzykiem. Ubranie głowy *Pompadour*, należy do najwięcéj używanych. Jest to rodzaj czepeczka *a la paysanne*. Duże dno z białéj blondyny na czarnym położonéj tiulu pokrywa włosy, na niém biegnie ukośna krata z czarnéj aksamitki. Diadem po nad czołem do którego wszystko przyczepione, składa się z aksamitek mieszanych z kwiatami. Denko do tego ubrania robią także niekiedy z czarnego aksamitu, naszytego w rzucik sieczką czarną, diadem zaś dodają z koronki i kwiatów, podniesiony mocno po nad czołem, a zwężony po bokach stósownie do układu włosów. Wykwintne panie z pierwszych tamecznych towarzystw, a osobliwie mieszkanki przedmieścia Saint Germain zarzuciły podobno całkiem krynoliny — a przynajmniéj nieprzyznają się do nich, utrzymując że je już zastąpiły sztywnie krochmalnemi kilkoma spódnicami. Trudno wiedzieć o ile to jest prawdą, lecz w ogóle mówią że na licznych zebraniach wieczornych, łatwo rozpoznać kobiety które nie używają stalowych obręczy po świeżości ich stroju, te albowiem które noszą prawdziwe krynoliny, zawsze mają suknie więcéj wymięte, a to z przyczyny że przeciskając się przez tłum, nie mogą zmniejszyć ich objętości dla sztywnéj klatki ukrytéj w fałdach. Suknie wlokące się na pół łokcia przynajmniéj z tyłu, używane bywają przez francuzki tylko w salonie, nie podobna nie uznać że w tém są one rozsądniejsze od naszych elegantek, które nieraz zamiatając chodniki, tworzą na kosztownéj materji szeroki szlak z błota i kurzawy.

## Objaśnienie tablicy rysunków.

N^er 1. Ranny kaftanik batystowy z dwunastoma zakładkami na przodzie, z wykładanym kołnierzykiem i pliską od przodu. Kołnierzyk i klapka przy rękawie oszyte koroneczką.
„ 2. Przód. Kropki znaczą zakładki.
„ 3. Plecy. — N^er 4. Rękaw.
„ 5. Klapka przy rękawie.
„ 6. Połowa paska do uniesienia sukni na błoto. Pasek ten z dubeltowego ciemnego perkalu naszywany jest fiszbinami, lub też grubemi strunami (od instrumentów muzycznych) żeby był sztywny. Z sześciu jego zębów, wychodzi sześć sznurków tak długich jak suknia, a zakończonych pętelkami, które się przyczepiają do sześciu guzików, w równych odstępach u obrąbka sukni przyszytych. Chcąc suknię unieść, należy te sznurki przeciągnięte przez pasek i związane na jego przodzie w dwa węzły, pociągnąć tak wysoko, jak się podoba i przewiązać żeby suknia nie opadła własnym ciężarem. Pasek z tyłu zakończony jest wąską na cal elastyką, spiętą na haftkę.
„ 7. Róg do chustki od nosa.
„ 8. Bukiecik. — N^er 9. Wstaweczka.
„ 10. Aplikacja muślinu na tiul koronkowy. Można użyć na firanki i na oszycie do alby.
„ 11 i 12. Denko czepeczka haftowane atłaskiem; przód trzy razy naszyty koronką.
„ 13. Alfabet.
„ 14. Szlak do spódnicy atłaskiem i an: haftem.
„ 15. Róg do chustki z imieniem Marja.

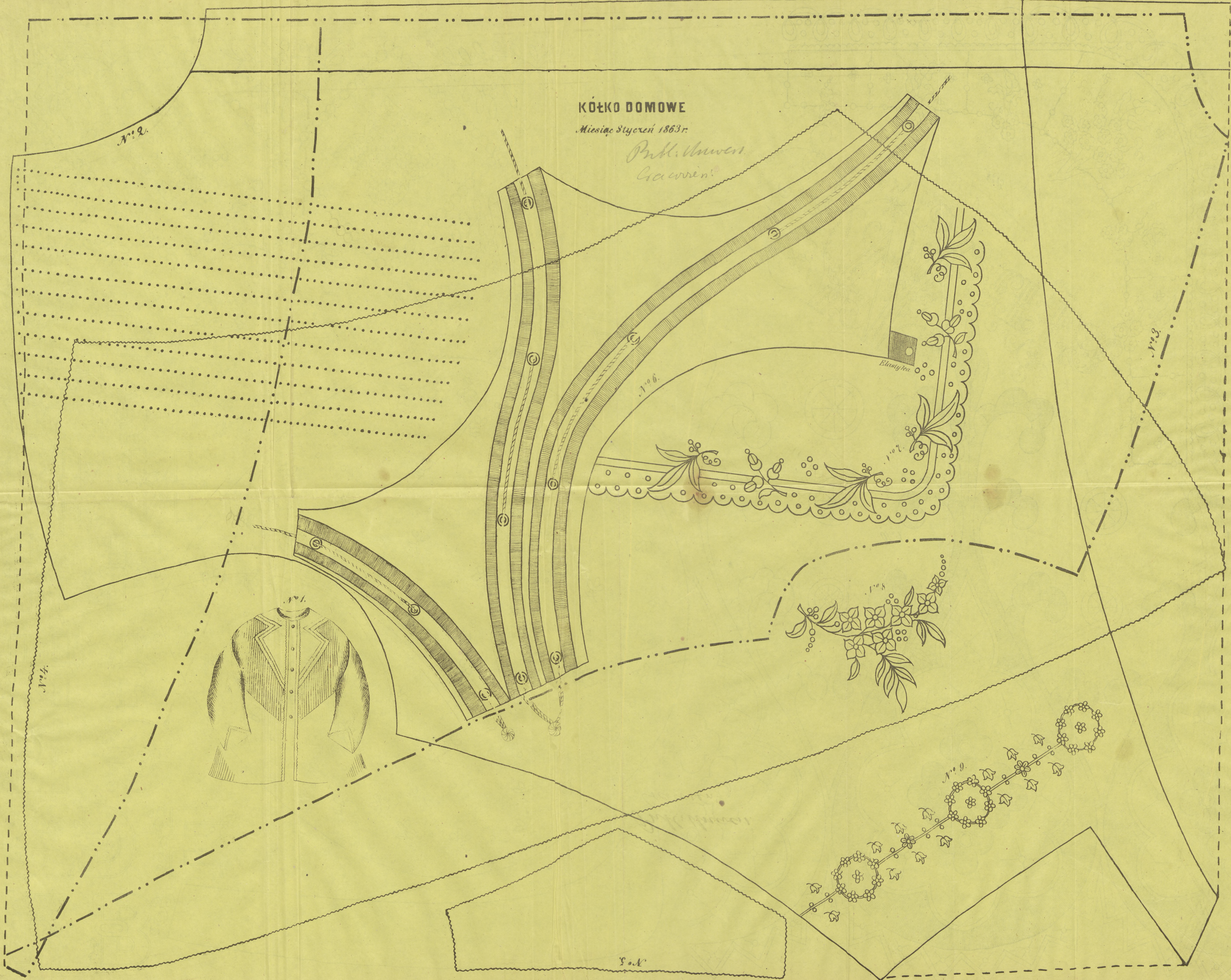
---

*Sprostowanie pomyłki.* Na stronnicy 291 w wierszu 12tym pierwszéj szpalty, zamiast róża czytaj: żona.




KÓŁKO DOMOWE

Styczeń 1863


KÓŁKO DOMOWE
Miesiąc Styczeń 1863 r.
Elastyka

№ 15

№ 14

№ 13

№ 10

№ 12

№ 11

A

B

B

A